

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**STENDHAL**

**VANINA VANINI**

**OPOWIADANIA**

TŁUMACZYŁ  
TADEUSZ BOY – ŻELEŃSKI



## VANINA VANINI

Było to pewnego wieczoru na wiosnę roku 182... Cały Rzym był w ruchu: książe de B., słynny bankier, wydawał bal w swoim nowym pałacu na placu Weneckim. Wszystko, co sztuka włoska, co zbytek Paryża i Londynu mogą wydać najwspanialszego, zgromadzono dla upiększenia tego pałacu. Tłok był ogromny. Jasnowłose i skromne piękności arystokratycznej Anglii ubiegały się o zaszczyt obecności na tym balu; przybywały tłumnie. Najpiękniejsze kobiety rzymskie walczyły z nimi o palmę piękności. Młoda dziewczyna, w której blask oczu i heban włosów zdradzały rzymiankę, weszła prowadzona przez ojca; wszystkie spojrzenia biegnęły za nią. Szczególna duma widniała w każdym jej ruchu.

Wchodząc, cudzoziemcy olśnieni byli wspaniałością tego balu. „Festyn żadnego z królów Europy, mówili, ani się umyśl do tego”.

Królowie nie mieszkają w cudach architektury rzymskiej; obowiązani są zapraszać wielkie damy swego dworu; książe de B. prosi tylko ładne kobiety. Tego wieczora był szczęśliwy w swoich zaproszeniach; mężczyźni byli olśnieni. Wśród tych niepospolitych kobiet trzeba było wybierać, która jest najpiękniejsza; wybór był jakiś czas nie rozstrzygnięty, ale w końcu obwołano królową balu księżniczkę Vaninę Vanini, ową młodą dziewczynę o czarnych włosach i płomiennym oku. Natychmiast cudzoziemcy i młodzi rzymianie, opuszczając inne salony, napłynęli cizbą tam, gdzie ona była.

Ojciec jej, książe Hasdrubal Vanini, życzył sobie, aby najpierw przetańczyła z kilkoma panującymi niemieckimi. Następnie przyjęła zaproszenie paru Anglików, bardzo pięknych i bardzo dobrze urodzonych; sztywne ich miny znudziły ją. Zdawało się, że więcej znajduje przyjemności w dręczeniu młodego Livio Savelli, który wyglądał na wielce zakochanego. Był to najświetniejszy młodzieniec w Rzymie, i co więcej, on też był księciem; ale gdyby mu dano do przeczytania powieść, rzuciłby książkę po dwudziestej stronie, powiadając, że go od czytania głowa boli. W oczach Vaniny była to wada.

Okolo północy rozeszła się po sali balowej wiadomość, która sprawiła pewne wrażenie. Młody karbonariusz, zamknięty w zamku Św. Anioła, umknął tegoż samego wieczora w przebraniu; przez wybryk romantycznego zuchwalstwa, mijając ostatnie warty, natarł na żołnierzy ze sztyletem; ale sam odniósł ranę, zbiry goniły go śladami krwi i była nadzieja, że go pochwyca.

Podczas gdy opowiadano tę historyjkę, Livio Savelli, olśniony wdziękiem i powodzeniem Vaniny, z którą właśnie przetańczył, szepnął, odprowadzając ją na miejsce, oszalały niemal z miłości:

– Powiedz pani, kogo byłabyś zdolna pokochać?  
– Tego młodego karbonariusza, który uciekł, lub bodaj kogoś, kto by zrobił coś więcej niż to, że raczył się urodzić.

Książe Hasdrubal zbliżył się do córki. Jest to bogaty człowiek; od dwudziestu lat nie policzył się ze swoim intendentem, który mu pożycza jego własne dochody na bardzo wysoki

procent. Kto by go spotkał na ulicy, wziąłby go za starego aktora; nie zauważyłby, że księżę ma na palcach kilka olbrzymich pierścieni zdobnych dużymi diamentami. Dwaj jego synowie wstąpili do jezuitów, a potem zmarli w obłąkaniu. Zapomniał ich; ale gryzie się tym, że jego jedyna córka, Vanina, nie chce iść za mąż. Ma już dziewiętnaście lat, a odrzuca najświetniejsze partie. Jaka przyczyna? Ta sama, która skłoniła Sullę do abdykacji, w z g a – r d a d l a r z y m i a n.

Nazajutrz po balu Vanina zauważyła, że ojciec jej, człowiek najbardziej niedbały pod słońcem, który w życiu nie zadał sobie tego trudu, aby użyć klucza, zamyka starannie drzwiczki od schodków wiodących na trzecie piętro pałacu. Okna wychodzą tam na terasę obsadzoną pomarańczami. Vanina odbyła kilka wizyt na mieście; za powrotem główna brama była zastawiona przygotowaniami do iluminacji, powóz wjechał tedy dziedzińcem. Vanina podniosła oczy i ujrzała ze zdziwieniem, że jedno okno w apartamencie, który ojciec zamknął tak troskliwie, jest otwarte. Uwolniła się od swej damy, weszła na poddasze i póty szukała, aż znalazła zakratowane okienko, wychodzące na terasę strojną pomarańczami. Owo otwarte okno, które zauważyła, było tuż. Bez wątplenia w pokoju ktoś mieszkał; ale kto? Nazajutrz Vanina zdołała się wystarać o klucz od drzwiczek wychodzących na terasę.

Podeszła na palcach do okna, które było jeszcze otwarte. Żaluzja pozwalała jej zostać niepostrzeżoną. W pokoju było łóżko, ktoś leżał w tym łóżku. Pierwszym jej odruchem było cofnąć się, ale spostrzegła suknię kobiecą, rzuconą na krzesło. Przyglądając się bliżej osobie spoczywającej na łóżku, ujrzała, że jest to blondynka, jak się zdawało, bardzo młoda. Nie wątpiła już, że to kobieta. Suknia rzucona na krzesło była zakrwawiona; była też krew na damskim trzewiku, stojącym na stole. Nieznajoma poruszyła się; Vanina spostrzegła że jest ranna. Szeroka opaska płócienna splamiona krwią okrywała jej piersi; opaska ta była umocowana jedynie za pomocą wstążek: to nie ręka chirurga założyła ją. Vanina zauważyła, że co dzień, koło czwartej, ojciec zamyka się w swoich pokojach, a potem zachodzi do nieznajomej; niebawem wraca i siada do powozu, aby się udać do hrabiny Vitteleschi. Skoro tylko odjechał, Vanina biegła na terasę, skąd mogła widzieć nieznajomą. Owa młoda kobieta, tak bardzo nieszczęśliwa, żywo przemawiała do jej wyobraźni; Vanina siliła się odgadnąć jej dzieje. Zakrwawiona suknia rzucona na krzesło nosiła ślady jak gdyby pchnięć sztyletu; Vanina mogła policzyć jej dziury. Jednego dnia ujrzała nieznajomą wyraźniej: błękitne jej oczy tonęły w niebie; zdawała się pogrążona w modlitwie. Niebawem łzy napęłniły jej piękne oczy; młoda księżniczka ledwie mogła się wstrzymać, aby do niej nie zagadać. Nazajutrz Vanina odważyła się ukryć na terasie przed przybyciem ojca. Ujrzała don Hasdrubala, jak wchodził do nieznajomej; niósł koszyk, a w nim zapasy. Księżę miał minę niespokojną, mówił niewiele. Szeptał tak cicho, że mimo iż okno było otwarte, Vanina nie mogła dosłyszeć, co mówi. Wkrótce wyszedł.

„Musi ta biedna kobieta mieć bardzo groźnych wrogów – pomyślała Vanina – skoro ojciec, z natury tak nieuważny, nie śmie się zwierzyć nikomu i zadaje sobie trud wspinania się co dzień na poddasze”.

Pewnego wieczora, kiedy Vanina wysuwała ostrożnie głowę ku oknu nieznajomej, spotkała jej oczy; wszystko się wydało. Vanina padła na kolana i krzyknęła:

– Kocham panią i chcę ci być pomocna.

Nieznajoma dała znak, aby weszła.

– Jakże winnam panią przeproszać – wykrzyknęła Vanina – moja głupia ciekawość musi się pani wydać niedelikatną! Przysięgam ci tajemnicę i, jeśli zażadasz, nie wrócę tu nigdy.

– Któż mógłby nie czuć się szczęśliwy, oglądając panią! – rzekła nieznajoma – Czy mieszkasz w tym pałacu?

– Oczywiście! – odparła Vanina. – Ale widzę, że pani mnie nie zna: jestem Vanina, córka don Hasdrubala.

Nieznajoma objęła ją zdumionym spojrzeniem, zaczerwieniła się mocno, po czym dodała:

– Racz pani użyczyć mi nadziei, że będziesz mię odwiedzała co dzień; ale chciałabym, aby ksiązę nie wiedział nic o tych odwiedzinach.

Serce biło Vaninie jak młotem; zachowanie się nieznajomej uderzyło ją swą szlachetnością. Biedna kobieta musiała się z pewnością narazić jakiemuś potężnemu człowiekowi; może w przystępie zazdrości zabiła kochanka? Vanina nie dopuszczała myśli, aby jej niedole mogły mieć jakąś pospolitą przyczynę. Nieznajoma odpowiedziała, że ją zraniono w ramię; rana sięgała aż do piersi i dokuczała jej mocno. Często miała usta pełne krwi.

– I nie ma tu chirurga! – wykrzyknęła Vanina.

– Wiadomo pani, że w Rzymie – odparła nieznajoma – chirurg winien jest policji wierny raport z każdej rany którą ma w leczeniu. Ksiązę raczy sam opatrywać moje rany tą bielizną.

Nieznajoma miała ten smak, iż unikała wszelkiego roztkliwiania się nad swoim wypadkiem; Vanina szalała już za nią. Jedno tylko zdziwiło młodą księżniczkę, a mianowicie, iż w trakcie rozmowy, niewątpliwie bardzo poważnej, nieznajoma z trudem zdołała powściągnąć nagłą ochotę do śmiechu.

– Byłabym szczęśliwa – rzekła Vanina – gdybym mogła znać twoje imię.

– Zowią mnie Klementyna.

– A więc, droga Klementyno, jutro o piątej przyjdę cię odwiedzić.

Nazajutrz Vanina znalazła nową przyjaciółkę w bardzo złym stanie.

– Sprowadzę ci chirurga – rzekła Vanina ściskając ją.

– Raczej wolałabym umrzeć – odparła nieznajoma. – Czyż mogłabym narazić moich dobroczyńców?

– Chirurg pana Savelli – Catanzara, gubernatora Rzymu, jest synem naszego służącego – odparła żywo Vanina – jest nam oddany, a dzięki swojej pozycji nie lęka się nikogo. Ojciec mój nie docenia jego wierności; posłę po niego.

– Nie chcę chirurga! – wykrzyknęła nieznajoma z gwałtownością, która zdumiała Vaninę.

– Przychodź do mnie, a jeśli Bóg zechce mnie powołać do siebie, umrę szczęśliwa w twoich ramionach.

Nazajutrz stan nieznajomej pogorszył się.

– Jeśli mnie kochasz – rzekła Vanina na rozstaniu – zgodzisz się przyjąć chirurga.

– Jeżeli się zgodzę, szczęście moje pierzchnie.

– Posłę po niego – odparła Vanina. Nic nie mówiąc, nieznajoma zatrzymała ją; ujęła rękę młodej dziewczyny i okryła ją pocałunkami. Nastąpiło długie milczenie, nieznajoma miała łzy w oczach. Wreszcie puściła rękę Vaniny i rzekła z wyrazem takim jak gdyby szła na śmierć.

– Mam pani coś wyznać. Przedwczoraj skłamałam mówiąc że się nazywam Klementyna: jestem nieszczęśliwy *carbonaro*.

Vanina zdumiona cofnęła się z krzesłem, wstała.

– Czuję – ciągnął karbonariusz – że to wyznanie pozbawia mnie jedyne skarbu, który mnie wiązał do świata, ale byłoby niegodne oszukiwać panią. Nazywam się Pietro Missirilli, mam dziewiętnaście lat; ojciec mój jest biednym chirurgiem w St. Angelo in Vado: ja jestem karbonariuszem. Odkryto naszą schadzkę; powleczono mnie w kajdanach z Romanii do Rzymu. Wtrącony do kaźni, gdzie lampka płonęła dniem i nocą. Spędziłem tam trzynaście miesięcy. Litościwa dusza zapragnęła mnie ocalić. Przebrano mnie za kobietę. Kiedy wychodziłem z więzienia i mijałem strażę przy ostatniej bramie, usłyszałem, jak jeden z żołdaków przeklina karbonariuszy; dałem mu policzek. Zaręczam pani, to nie była czcza fanfaronada, ale roztargnienie. Ścigany w nocy, przez ulice po tym niebacznym kroku, zraniony bagnetem, tracąc już siły wpadam do jakiegoś domu przez otwartą bramę. Słyszę kroki żołnierzy tuż za sobą, skaczę w ogród, padam o kilka kroków od kobiety, która się przechadza.

– Hrabina Vitteleschi; przyjaciółka mego ojca – rzekła Vanina.

– Jak to! Powiedziała to pani? – wykrzyknął Missirilli. – Tyle wiem, że ta dama, której nazwisko nigdy nie powinno wyjść z moich ust, ocaliła mi życie. W chwili gdy żołnierze wpadli do domu, aby mnie pochwyć, ojciec pani uprowadził mnie w swoim powozie. Czuję się bardzo źle; od kilku dni to pchnięcie bagnetem nie daje mi oddychać. Umrę, i umrę w rozpacz, skoro tym samym przestanę panią widywać.

Vanina słuchała niecierpliwie i szybko wyszła. Missirilli nie znalazł w tych pięknych oczach żadnego współczucia, jedynie wyraz obrażonej dumy.

W nocy zjawił się chirurg; był sam. Missirilli był w rozpacz, lękał się, że już nie ujrzy Vaniny. Próbował pytać chirurga, ale ten puścił mu krew i nie odpowiedział nic. Toż samo milczenie następnych dni. Oczy Pietra nie opuszczały terasy, którą Vanina zwykła była wchodzić; był bardzo nieszczęśliwy. Jednego dnia, koło północy, zdawało mu się, że widzi jakiś cień na terasie; czy to była Vanina?

Co noc Vanina przychodziła i przyciskała twarz do szyby w oknach młodego *carbonaro*.

– Jeśli doń przemówię – powiadała sobie – jestem zgubiona! Nie, nigdy już nie powinnam go ujrzeć!

Powziąwszy to postanowienie, przypomniała sobie mimo woli sympatię, jaką zapłonęła do tego młodzieńca, kiedy tak nedorzecznie brała go za kobietę. Po tak lubej zażyłości trzeba go zapomnieć! W chwili rozsądku Vanina była przerażona zmianami, jakie zaszły w jej pojęciach. Od czasu jak Missirilli wymienił swoje nazwisko, wszystko to, o czym zwykła myśleć, pokryło się jak gdyby mgłą, jawiło się już tylko w dali.

Tydzień nie upłynął, kiedy Vanina, blada i drżąca, weszła z chirurgiem do pokoju młodego *carbonaro*. Przyszła powiedzieć mu, że trzeba skłonić księcia, aby przysłał w swoje miejsce służącego. Nie została ani dziesięciu sekund; ale przez litość za kilka dni znów wróciła z chirurgiem. Jednego wieczora, mimo iż Missirilli czuł się o wiele lepiej i Vanina nie miała już powodu do obaw o jego życie, ośmieliła się przyjść sama. Na jej widok Missirilli omal nie oszalał ze szczęścia, ale starał się ukryć swą miłość; przede wszystkim chciał ocalić godność mężczyzny. Vaninę, która weszła ze spłonionym czołem, lękając się wyznań miłosnych, zbiła z tropu szlachetną i pełną oddania, ale wolną od roztkliwień przyjaźni, z jaką ją przyjął. Kiedy odeszła, nie starał się jej zatrzymać.

Kiedy wróciła w kilka dni później, toż samo zachowanie się, te same zapewnienia głębokiego szacunku i wiekuiestej wdzięczności. Vanina nie tylko nie potrzebowała hamować uniesień młodego *carbonaro*, ale zaczęła się lękać, że ona jedna kocha... Ta tak dumna dotąd młoda dziewczyna gorzko czuła bezmiar swego szaleństwa. Udawała wesołość, nawet chłód, przychodziła rzadziej, ale nie mogła się przemóc, aby nie odwiedzać młodego chorego.

Missirilli, płonąć miłością, ale pomny swego niskiego urodzenia i swej godności, postanowił dać folgę uczuciom aż wtedy, gdy Vanina wytrwa tydzień bez widzenia go. Duma młodej księżniczki broniła się piędź po piędzi.

– Ba! – powiedziała sobie wreszcie – jeżeli przychodzę do niego, to dla siebie, aby sobie sprawić przyjemność. Nigdy nie wyznam mu sympatii, jaką we mnie budzi.

Przesiadywała długo u Missirilla, który rozmawiał z nią tak, jakby to czynił wobec dwudziestu osób. Jednego wieczora, po dniu, przez który nienawidziła go i przyrzekała sobie być dlań jeszcze surowsza i chłodniejsza niż zwykle, powiedziała mu, że go kocha. Niebawem została jego kochanką.

Było to szaleństwo, ale trzeba wyznać, że Vanina czuła się zupełnie szczęśliwa. Missirilli nie myślał już o rzekomych obowiązkach godności; kochał tak, jak się kocha pierwszy raz w dziewiętnastym roku i we Włoszech. Miał wszystkie skrupuły najtkliwszej miłości; tak dalece, iż wyznał tej dumnej księżniczce podstęp, do którego się uciekł, aby obudzić jej miłość. Zdumiony był nadmiarem jej szczęścia. Cztery miesiące upłynęły bardzo szybko. Jednego dnia chirurg oznajmił, iż wraca wolność choremu. „Co mam począć? – pomyślał Missirilli. – Zostać ukryty u jednej z najpiękniejszych osób w Rzymie? A podli tyrani, którzy

mnie trzymali trzynaście miesięcy w więzieniu bez słońca, będą pewni, że mnie złamali! Italo, jesteś naprawdę nieszczęśliwa, jeśli twoi synowie opuszczają cię tak łatwo!”

Vanina nie wątpiła, że największym szczęściem Pietra byłoby zostać na zawsze przy niej; zdawał się u szczytu marzeń; ale jedno powiedzenie generała Bonaparte rozlegało się ironicznie w duszy młodzieńca i dawało ton całemu jego stosunkowi do kobiet. Kiedy w roku 1796 generał Bonaparte opuszczał Brescię, ławnicy, którzy go odprowadzali do bram miasta, wspomnieli mu, iż mieszkańcy Brescii najbardziej kochają wolność w całych Włoszech.

– Tak – odparł – lubią o tym opowiadać swoim kochankom.

Missirilli oświadczył Vaninie dość nie swoim głosem:

– Skoro zapadnie noc, muszę wyjść z tego domu.

– Pamiętaj wrócić do pałacu przed świtem; będę czekała na ciebie.

– O świcie będę daleko.

– Wybornie – rzekła zimno Vanina – i dokąd się udasz?

– Do Rzymu, zemścić się.

– Ponieważ jestem bogata – ciągnęła Vanina najspokojniej w świecie – mam nadzieję, że przyjmiesz ode mnie broń i pieniądze?

Missirilli popatrzył na nią bystro długą chwilę, po czym rzucił się w jej ramiona, mówiąc:

– Duszo mego życia, zapominam przy tobie o wszystkim, nawet o swoim obowiązku. Ale im twoje serce jest szlachetniejsze, tym bardziej powinnaś mnie zrozumieć.

Vanina płakała długo, w końcu postanowiono, że Pietro opuści Rzym aż pojutrze.

– Pietro – powiedziała doń nazajutrz – mówiłeś mi nieraz, że człowiek znany, na przykład książe rzymski, rozporządzający znacznymi sumami, mógłby oddać wielkie usługi sprawie wolności, gdyby kiedy Austria wplątała się gdzieś daleko w wielką wojnę.

– Z pewnością – odparł Pietro zdumiony.

– Posłuchaj zatem: jesteś dzielny człowiek, brak ci jedynie wysokiej pozycji; ofiaruję ci swoją rękę i dwieście tysięcy funtów renty. Podejmuję się uzyskać pozwolenie ojca.

Pietro rzucił się do jej stóp; Vanina jaśniała radością.

– Kocham cię bez pamięci – rzekł – ale jestem biednym sługą ojczyzny; im Włochy są nieszczęśliwsze, tym bardziej powinienem im zostać wierny. Aby uzyskać zezwolenie don Hasdrubala, trzeba lata całe odgrywać nader smutną rolę. Vanino, odmawiam.

Missirilli chciał spalić mosty tym słowem: czuł, że niebawem zbraknie mu odwagi.

– Moim nieszczęściem jest – wykrzyknął – że cię kocham bardziej niż życie, że opuścić Rzym jest dla mnie najstraszliwszą męką. Och! Czemuż Włochy nie są wolne od barbarzyńców! Z jaką rozkoszą popłynąłbym z tobą do Ameryki.

Vanina zlodowaciała. Ta odmowa jej ręki dotknęła jej dumę; ale niebawem rzuciła się w ramiona Missirilla.

– Nigdy nie wydałeś mi się godniejszy kochania – wykrzyknęła. – Tak, mój chirurgu wiejski, jestem twoją na zawsze. Jesteś wielki człowiek, na wzór dawnych Rzymian.

Wszelka myśl o przyszłości, wszelki mizerny głos rozsądku pierzchły; była to chwila doskonałej miłości. Skoro znów mogli zebrać myśli, Vanina rzekła:

– Będę w Romanii tuż za tobą i każę sobie przepisać kąpiele w Poretta. Zatrzymam się w zamku, który mamy w San Nicolo, niedaleko Forli...

– Tam spędzę życie z tobą! – wykrzyknął Missirilli.

– Moim losem jest obecnie ważyć się na wszystko – odparła Vanina z westchnieniem. – Zgubię się dla ciebie, ale mniejsza... Czy będziesz mógł kochać dziewczynę zniesławioną?

– Czyż nie jesteś żoną moją – rzekł Missirilli – i to żoną ubóstwianą na wieki? Potrafię cię kochać i bronić.

Vanina musiała iść do gości. Za ledwie Missirilli został sam, własne postępowanie wydawało mu się barbarzyństwem.



Co to jest o j c z y z n a? – powiadał sobie. – To nie jest istota, której bylibyśmy winni wdzięczność za dobrodziejstwo, która byłaby nieszczęśliwa i mogła nas przeklinać, jeśli jej chybimy. O j c z y z n a i w o l n o ś ć to tak jak mój płaszcz; to rzecz, która mi jest pożyteczna, którą trzeba mi kupić, to prawda, o ile jej nie dostałem w spadku po ojcu; ale ostatecznie kocham ojczyznę i wolność, ponieważ te dwie rzeczy są mi użyteczne. Jeżeli nie mam z nimi co począć, jeżeli są dla mnie niby płaszcz w sierpniu, po co je kupować i to za olbrzymią cenę? Vanina jest tak piękna, tak urocza! Będą jej nadskakiwali; zapomni o mnie. Gdzież jest kobieta, która by miała w życiu tylko jednego kochanka? Ci pankowie rzymscy, którymi gardzę, mają tyle przewag nade mną! Muszą być bardzo mili. Och! Jeśli odjadę, ona zapomni o mnie i stracę ją na zawsze.

W nocy Vanina zaszła do niego; przyznał się jej do niepewności, w której tonął, oraz do roztrząsań, jakim – pod wpływem swej miłości – poddał wielkie słowo o j c z y z n a. Vanina uczuła się bardzo szczęśliwa.

– Gdyby musiał koniecznie wybierać między ojczyzną a mną – powiadała sobie – dałby pierwszeństwo mnie.

Zegar na sąsiedniej wieży wybił trzecią; nadchodziła chwila ostatecznego pożegnania. Pietro wyrwał się z objęć kochanki. Już schodził na dół, kiedy Vanina, wstrzymując łzy, rzekła z uśmiechem:

– Gdybyś znalazł opiekę u biednej wieśniaczki, czy nie uczyniłbyś nic, aby się odwdzińczyć? Przyszłość jest niepewna, puszczasz się w drogę pośród swoich wrogów, daruj mi trzy dni przez wdzięczność, tak jakbym była biedną kobietą, aby mi zapłacić za opiekę.

Missirilli został. Wreszcie opuścił Rzym. Dzięki paszportowi, kupionemu w zagranicznej ambasadzie, dostał się do swoich. Była to wielka radość; myśleli, że nie żyje. Przyjaciele chcieli uczcić jego powrót sprzątnięciem jednego lub dwóch karabinierów (nazwa, jaką noszą żandarmi w państwie papieskim).

– Nie zabijamy bez koniecznej potrzeby Włocha, który umie władać bronią – rzekł Missirilli. – Ojczyzna nasza nie jest wyspą, jak nieszczęsna Anglia; to brak żołnierzy nie pozwala nam się oprzeć sprzymierzonym królom Europy.

Wkrótce po tym Missirilli, tropiony przez karabinierów, zabił ich dwóch z pistoletów, które mu dała Vanina. Nałożono cenę na jego głowę.

Vanina nie zjawiła się w Romanii; Missirilli sądził, że zapomniała o nim. Był to cios dla jego miłości własnej; zaczął wiele rozmyślać nad różnicą stanu, która go dzieli od kochanki. W chwili roztkliwienia i żalu za minionym szczęściem powziął myśl, aby wrócić do Rzymu i zobaczyć, co robi Vanina. Ta szalona myśl miała już przeważać wszystko, co uważał za swój obowiązek, kiedy pewnego wieczora dzwon na górkim kościółku wydzwonił Anioł Pański w jakiś osobliwy sposób, tak jakby dzwonnik zapomniał się. Był to znak schadzki dla *vente* karbonariuszy, do której Missirilli wstąpił przybywszy do Romanii. Tej samej nocy wszyscy znaleźli się w pewnej pustelni w lesie. Dwaj pustelnicy, uśpieni przy pomocy opium, nie mieli najmniejszej świadomości celu, na jaki posłużył ich domek. Missirilli, który przybył tam bardzo smutny, dowiedział się, że naczelnika *vente* schwytano i że jego, zaledwie dwudziestoletniego młokosa, miano wybrać naczelnikiem *vente*, która liczyła mężczyzn więcej niż pięćdziesięcioletnich, spiskujących od czasu wyprawy Murata w roku 1815. Dostępując tego nieoczekiwanego zaszczytu, Pietro uczuł, że serce mu bije. Skoro został sam, postanowił nie myśleć już o młodej rzymiance, która o nim zapomniała, i poświęcić wszystkie swoje myśli powinności o s w o b o d z e n i a W ł o c h o d b a r b a r z y ń – c ó w.

W dwa dni później Missirilli wyczytał w raporcie przyjazdów i odjazdów, jaki mu składano jako naczelnikowi *vente*, że księżniczka Vanina przybyła do zamku swego w San Nicolo. Wiadomość ta wniosła więcej zamętu niż radości w jego duszę. Próżno upewniał sam siebie o swej miłości ojczyzny, przemagając się, aby nie pognać tegoż wieczora do zamku w

San Nicolo; myśl o Vaninie, której się sprzeniewierzał, nie dała mu spełniać należycie obowiązków. Ujrzał ją nazajutrz; kochała go jak w Rzymie. Ojciec, który chciał ją wydać za mąż, opóźnił jej wyjazd. Przywiozła dwa tysiące cekinów. Ta nieoczekiwana pomoc cudownie wzmocniła powagę Missirilla jako nowego dygnitarza. Zamówiono sztylety na Korfu; przekupiono przybocznego sekretarza legata, mającego ścigać karbonariuszów. W ten sposób zdobyto listę księży, pełniących funkcje szpiegów rządowych.

W owej epoce dokończono organizacji jednego z najmniej szalonych spisków, o jakie pokuszono się w nieszczęsnej Italii. Nie będę tu wchodził w szczegóły, powiem tylko, że gdyby zamiar ten uwieńczyło powodzenie, Missirilli miałby prawo do sporej części chwały. Za jego sprawą kilka tysięcy spiskowców byłoby powstało na dany sygnał, czekając pod bronią przybycia wodzów. Stanowcza chwila zbliżała się, kiedy – jak zawsze się zdarza – uwięzienie wodzów udaremniło spisek.

Ledwie przybywszy do Romanii Vanina nabyła przeświadczenia, że miłość ojczyzny kazałaby jej kochankowi zapomnieć o wszelkiej innej miłości. Duma zakłócała w młodej rzymiance. Na próżno usiłowała być rozsądną; popadła w melancholię: spostrzegła się, iż przeklina wolność. Jednego dnia, kiedy przybyła do Forli, aby się widzieć z Missirillim, nie mogła opanować męki, którą dotąd duma jej zawsze umiała zawładnąć.

– Doprawdy – rzekła – ty mnie kochasz po małżeńsku; to mi wcale nie wystarcza.

Rozpłakała się; ale to ze wstydu, że się zniżyła do wyrzutów. Missirilli uspokajał ją z widocznym roztargnieniem. W tej chwili Vanina powzięła myśl, aby go opuścić i wrócić do Rzymu. Znajdowała okrutną radość w tym, aby się ukarać za słabość, która przez nią przemówiła. Po krótkim milczeniu postanowienie jej dojrzało; uważałaby się za niegodną swego kochanka, gdyby go nie opuściła. Cieszyła się jego bolesnym zdumieniem, kiedy jej będzie na próżno szukał dokoła siebie. To znowuż myśl, że nie może uzyskać miłości człowieka, dla którego uczyniła tyle szaleństw, roztkliwiła ją głęboko. Przerwała milczenie i robiła, co tylko mogła, aby zeń wydrzeć czulsze słowo. On mówił jej z roztargnioną twarzą rzeczy bardzo serdeczne; ale jakimś innym, o ileż głębszym akcentem brzmiał jego głos, gdy wykrzyknął z bólem, mówiąc o swoich zamiarach:

– Och, jeśli ta sprawa się nie powiedzie, jeśli rząd odkryje ją znowu, rzucam już wszystko!

Vanina siedziała bez ruchu. Od godziny czuła, że widzi swego kochanka ostatni raz. Te słowa rozświetliły złowrogim blaskiem jej duszę. Powiedziała sobie:

– Karbonariusze dostali ode mnie kilka tysięcy cekinów; nikt nie będzie mógł wątpić o moim oddaniu.

Kiedy Vanina zbudziła się z zadumy, rzekła do Pietra:

– Chcesz spędzić ze mną jeden dzień w zamku San Nicolo? Dzisiejsze zebranie wymaga twojej obecności. Jutro rano wybierzemy się w San Nicolo na przechadzkę; to uspokoi twoje nerwy i wróci ci zimną krew, której potrzeba ci w tym ważnym momencie.

Pietro zgodził się.

Vanina rozstała się z nim, aby się przygotować do podróży. Wedle zwyczaju zamknęła na klucz pokój, w którym go ukryła.

Pobiegła do swej dawnej pokojówki, która opuściwszy służbę wyszła za mąż i otworzyła sklepik w Forli. Przybywszy do tej kobiety nakreśliła spiesźnie na marginesie książki do modlenia, którą znalazła w izdebce, dokładny opis miejsca, gdzie *vente* karbonariuszów miała się odbyć tej nocy. Zakończyła denuncjację tymi słowy: „*Vente* składa się z dziewiętnastu członków; oto ich nazwiska i adresy”. Spisawszy listę bardzo dokładnie, opuściwszy jedynie nazwisko Pietra, powiedziała do tej kobiety, na której oddanie mogła liczyć:

– Zanieś tę książkę do kardynała – legata; niech przeczyta, co tu jest napisane, i niech ci odda książkę. Oto dla ciebie dziesięć cekinów; jeśli kiedykolwiek legat zdradzi twoje imię, śmierć twoja jest pewna; ale ocalisz mi życie, jeśli pokażesz legatowi kartkę, którą skreśliłam.

Wszystko odbyło się cudownie. Strach legata sprawił, że zachował się nie po pańsku. Pozwolił kobiecie, która żądała posłuchania, zjawić się przed nim w masce, ale pod warunkiem, że ręce będzie miała związane. W ten sposób wprowadzono sklepikarkę przed oblicze dostojnika, który oszańcował się za olbrzymim stołem, przykrytym zielonym sukniem.

Legat odczytał pismo zawarte w książce do modlenia, trzymając ją daleko od siebie, z obawy subtelnej trucizny. Oddał książkę sklepikarce i nie kazał jej śledzić. W niespełna trzy kwadranse po rozstaniu z kochankiem Vanina, ujrzawszy, że jej dawna pokojówka wraca, pośpieszyła znów do Pietra, sądząc, iż odtąd posiadała go wyłącznie dla siebie. Oznajmiła mu, że w mieście jest niezwykle ruch; widać było patrole karabinierów w ulicach, gdzie nie zjawiali się nigdy.

– Posłuchaj mnie – dodała – jedźmy natychmiast do San Nicolo.

Missirilli zgodził się. Dostali się pieszo do powozu księżniczki, w którym jej *duena*, dyskretna i dobrze opłacana powiernica, czekała o pół mili za miastem.

Znalazłszy się w zamku San Nicolo Vanina, zaniepokojona swoim szalonym krokiem, zdwoiła tkliwość dla kochanka. Ale kiedy mu mówiła o swej miłości, miała uczucie, że gra komedię. Zdradzając go w wilię, zapomniała o wyrzutach. Tuląc kochanka, powiadała sobie:

– Wystarczy, by mu powiedziano jedno słowo, aby mnie znienawidził natychmiast i na zawsze.

W nocy wszedł nagle do pokoju jeden ze służących Vaniny. Człowiek ten był karbonariuszem bez jej wiedzy. Missirilli miał wtedy dla niej tajemnice, nawet co do takich szczegółów. Zadrzała.

Człowiek ten przyszedł ostrzec Pietra, że tej nocy otoczono w Forli domy dziewiętnastu karbonariuszów i uwięziono ich w chwili, gdy wracali z *vente*. Mimo że ich zaskoczono niespodzianie, dziewięciu uciekło. Dziesięciu zdołali karabinierzy doprowadzić do cytadeli. Wchodząc, jeden z nich rzucił się w głęboką studnię i zabił się.

Vanina słuchała półprzytomna; szczęściem Missirilli nie zauważył tego: byłby wyczytał zbrodnię w jej oczach.

– W tej chwili – dodał służący – załoga Forli obstawiała sznurkiem wszystkie ulice. Żołnierz stoi od żołnierza tak blisko, że mogą z sobą rozmawiać. Mieszkańcom nie wolno przejść z jednej strony ulicy na drugą poza miejscem, gdzie stoi oficer.

Skoro ten człowiek wyszedł, Pietro zadumał się.

– Nic się nie da zrobić w tej chwili – rzekł wreszcie.

Vanina była w półżywa; drżała pod spojrzeniem kochanka.

– Co się z tobą dzieje? – rzekł.

Po czym zaczął myśleć o czym innym i przestał na nią patrzeć. Około południa ośmieliła się rzec:

– Oto znów jedna *vente* odkryta; sądzę, że na jakiś czas dasz temu pokój.

– Najzupełniej – odparł Missirilli z uśmiechem, od którego zadrzała.

Wybrała się z nieodzowną wizytą do proboszcza w San Nicolo, może szpiega jezuitów. Kiedy o szóstej wróciła na obiad, pokój, w którym ukrywał się jej kochanek, był pusty. Oszalała jęła go szukać po całym domu; nie było go. Zrozpaczona wróciła do pokoiku, wówczas dopiero spostrzegła list; przeczytała:

*Idę oddać się w ręce legata; zwątpiłem o naszej sprawie, niebo jest przeciw nam. Kto nas zdradził? Zapewne nędznik, który się rzucił do studni. Skoro życie moje jest bezpożyteczne dla biednych Włoch, nie chcę, aby moi towarzysze, widząc, że mnie jednego nie uwięziono, mogli sobie wyobrazić, że ich zdradziłem. Żegnaj; jeśli mnie kochasz, myśl, jak mnie pomścić. Zgub, zdław nikczemnika, który nas zdradził, choćby to był mój ojciec.*

Vanina padła na krzesło, w półzemdlna i pogrążona w najstraszliwszej męce. Nie mogła wyrzec słowa; oczy jej były suche i płonące.

Padła na kolana:

– Wielki Boże! – krzyknęła – przyjmij mój ślub; tak, skarzę nikczemnika, który zdradził; ale wprzód trzeba wrócić wolność Pietrowi.

W godzinę potem była w drodze do Rzymu. Od dawna ojciec nalegał, aby wróciła. W czasie nieobecności Vaniny ułożono jej małżeństwo z księciem Liviem Savelli. Skoro tylko wróciła, ojciec wspomniał jej o tym ze drżeniem. Ku jego wielkiemu zdziwieniu zgodziła się od pierwszego słowa. Tegoż samego wieczora, u hrabiny Vitteleschi, ojciec przedstawił jej prawie oficjalnie don Livia; rozmawiała z nim długo. Był to młodzieniec nader wytwornych manier i mający śliczne włosy; ale mimo że ceniono jego dowcip, uchodził za takiego lekkoducha, że nie był podejrzany w oczach rządu. Vanina pomyślała, że rozkochawszy go w sobie, może w nim zyskać powolne narzędzie. Ponieważ był bratankiem monsignora Savelli – Catanzara, gubernatora rzymskiego i ministra policji, przypuszczała, że szpiegi nie ośmielą się go śledzić.

Przez kilka dni Vanina obchodziła się z sympatycznym don Liviem bardzo łaskawie; po czym nagle oznajmiła mu, że nigdy za niego nie wyjdzie; nie można go (jej zdaniem) brać na serio.

– Gdybyś nie był dzieckiem – rzekła – zausznicy twego stryja nie mieliby dla ciebie tajemnic. Na przykład, co zamierza rząd uczynić z karbonariuszami ujętymi niedawno w Forli?

W dwa dni później don Livio oświadczył jej, że wszyscy karbonariusze ujęci w Forli umknęli. Spojrzała nań swymi wielkimi czarnymi oczyma z uśmiechem nieopisanej wzgardy i nie raczyła się doń odezwać cały wieczór. Na trzeci dzień don Livio wyznał jej rumieniąc się, że go oszukano.

– Ale – rzekł – postarałem się o klucz od gabinetu stryja; dowiedziałem się z papierów, które tam znalazłem, że k o n g r e g a c j a (lub komisja), złożona z najwplywowszych kardynałów i prałatów, zbiera się w największej tajemnicy i naradza się nad tym, czy należy sądzić tych karbonariuszów w Rawennie czy w Rzymie. Dziewięciu karbonariuszów ujętych w Forli i ich herszt, niejaki Missirilli, który zrobił to głupstwo, że się sam wydał, znajdują się w tej chwili w zamku San Leo.

Na to słowo g ł u p s t w o Vanina uszczypnęła księcia z całych sił.

– Chcę sama – rzekła – widzieć te urzędowe papiery i dostać się z tobą do gabinetu stryja; musiałeś źle przeczytać.

Na te słowa don Livio zadrzał; Vanina żądała rzeczy prawie niemożliwej; ale oryginalność dziewczyny zdwajała jego uczucie. W kilka dni później Vanina, w męskim przebraniu, w zgrabnej liberii domu Savelli, mogła spędzić pół godziny przewracając w najtajniejszych papierach ministra policji. Przebiegł ją dreszcz szczęścia, kiedy znalazła dzienny raport dotyczący o b w i n i o n e g o P i e t r a M i s s i r i l l i. Ręce jej drżały, gdy trzymała ten papier. Kiedy czytała to nazwisko, omal nie zemdląca. Wychodząc z pałacu gubernatora, Vanina pozwoliła, aby ją don Livio pocałował.

– Dobrze – rzekła – wywiązałeś się z prób, którym cię pragnę poddać.

Po tym powiedzeniu młody książę podпалиłby Watykan, aby się przypodobać Vaninie. Tego wieczora był bal u ambasadora francuskiego; tańczyła dużo i prawie wyłącznie z narzeczonym. Don Livio był pijany szczęściem, nie trzeba było dać mu ochłonać.

– Ojciec mój bywa niekiedy dziwny – rzekła pewnego dnia Vanina – wypędził dziś rano dwóch służących i przyszedł do mnie ze swymi lamentami. Jeden prosił mnie, aby go umieścić u pańskiego stryja, gubernatora rzymskiego; drugi, który służywał w artylerii u Francuzów, chciałby znaleźć miejsce w zamku Św. Anioła.

– Biorę ich obu do swojej służby – rzekł żywo młody książę.

– Czy ja o to pana proszę? – odparła dumnie Vanina. – Powtarzam panu dosłownie prośbę tych biednych ludzi; muszą uzyskać to, czego pragną, a nie co innego.

Rzecz była niesłychanie trudna. Monsignor Catanzara nie brał takich spraw lekko i wpuszczał do domu jedynie ludzi dobrze sobie znanych. Wśród tego życia, wypełnionego na pozór ciągłą zabawą, Vanina, dręczona wyrzutami, była bardzo nieszczęśliwa.

Powolność, z jaką wlokły się wypadki, zabijała ją. Pełnomocnik ojca wystarał się jej o pieniądze. Czy miała opuścić dom ojcowski i udać się do Romanii, aby próbować uwolnić kochanka? Mimo całego szaleństwa tej myśli już miała ją wprowadzić w czyn, kiedy traf ulitował się nad nią.

Pewnego dnia don Livio oznajmił jej:

– Dwóch karbonariuszów z *vente* Missirilla przewiozą do Rzymu, przy czym mają być po wyroku straceni w Romanii. Wuj mój uzyskał to u papieża dziś wieczór. Tylko my dwoje w całym Rzymie znamy tę tajemnicę. Czyś zadowolona?

– Robi się z ciebie mężczyzna – odparła Vanina – możesz mi ofiarować swój portret.

W wilię dnia, w którym Missirilli miał przybyć do Rzymu, Vanina znalazła jakiś pozór, aby się udać do Citta Castellana. W tym mieście nocują w więzieniu karbonariusze, których się przewozi z Romanii do Rzymu. Ujrzała Pietra rano, kiedy opuszczał więzienie; był skuty, sam na wózku; zdawał się jej bardzo blady, ale zgoła nie złamany. Staruszka jakaś rzuciła mu bukietek fiołków, Missirilli podziękował uśmiechem.

Widok kochanka obudził w Vaninie wszystkie wspomnienia i skrzepił jej zapał. Od dawna obdarzała zaszczytnym wyróżnieniem księdza Cari, kapelana zamku Św. Anioła, gdzie miał się dostać jej kochanek; wzięła tego zacnego księdza na spowiednika. To nie byle co w Rzymie być spowiednikiem księżniczki, bratanicy gubernatora.

Proces karbonariuszów z Forli nie trwał długo. Aby się zemścić za ich sprowadzenie do Rzymu, któremu nie dało się zapobiec, stronnictwo ultra złożyło z najambitniejszych prałatów komisję, która ich miała sądzić. Przewodniczącym komisji był minister policji.

Prawo na karbonariuszów jest jasne; więźniowie z Forli nie mogli mieć żadnych złudzeń; mimo to bronili swego życia za pomocą wszystkich możliwych wybiegów. Sędziowie nie tylko skazali ich na śmierć, ale wielu z nich głosowało za okrutną kaźnią, ucięciem ręki etc. Ministrowi policji, którego kariera była zapewniona (miejsce to opuszcza się jedynie dla kapelusza kardynalskiego), nie zależało wcale na ucinaniu ręki; zaniósłszy wyrok papieżowi, uzyskał dla wszystkich skazanych złagodzenie kary na kilka lat więzienia. Wyłączony z tej łaski był jedynie Pietro Missirilli. Minister widział w tym młodym człowieku niebezpiecznego fanatyka, był już zresztą skazany na śmierć jako winny zabójstwa wspomnianych dwóch karabinierów. Vanina dowiedziała się o wyroku i o łasce w kilka chwil po powrocie ministra od papieża.

Nazajutrz monsignor Catanzara wrócił do swego pałacu koło północy i nie zastał pokojowca. Zdziwiony zadzwonił kilkakrotnie; wreszcie zjawił się stary zidiociały sługa; minister, zniecierpliwiony, zdecydował się sam rozebrać. Zamknął drzwi na klucz; było bardzo gorąco; zdjął suknie i rzucił je bezładnie na krzesło. Ubranie, rzucone zbyt silnie, przeleciało przez krzesło i potrafiło muślinową firankę przy oknie, pod którą zarysował się kształt człowieka. Minister skoczył żywo ku łóżku i pochwycił pistolety. Kiedy wracał od okna, bardzo młody człowiek, odziany w barwy jego domu, zbliżył się doń z pistoletem w ręku. Na ten widok minister podniósł pistolet; już miał strzelić. Młody człowiek rzekł śmiejąc się:

– Jak to! Wasza Dostojność nie poznaje Vaniny Vanini?

– Co znaczy ten głupi żart? – odparł minister z gniewem.

– Mówmy rozsądnie – rzekła młoda dziewczyna. – Przede wszystkim pański pistolet nie jest nabyty.

Zdumiony minister sprawdził; po czym wydobyl sztylet z kieszeni od kamizelki.

Vanina rzekła z minką czarująco poważną:

– Siadajmy, Wasza Dostojność. Siadła spokojnie na kanapie.

– Czy jesteś bodaj sama? – spytał minister.

– Najzupełniej sama, przysięgam! – wykrzyknęła Vanina.

Minister sprawdził prawdę tych słów, obszedł pokój i zajrzał wszędzie; po czym usiadł na krześle o trzy kroki od Vaniny.

– Jakież miałabym w tym interes – rzekła Vanina łagodnie i ze spokojem – aby się porywać na życie człowieka ludzkiego, którego miejsce zająłby prawdopodobnie jakiś osobnik słaby a zagorzały, zdolny zgubić siebie i drugich?

– Czegóż tedy pani sobie życzy? – rzekł minister oschle. – Ta scena jest nie na miejscu i nie powinna się przedłużać.

– To, co mam dodać – odparła Vanina wyniośle, porzucając nagle uprzejmy ton – ważniejsze jest dla pana niż dla mnie. Żądają, aby karbonariusz Missirilli wyszedł cało; jeżeli zginie, pan nie przeżyje go ani o tydzień. Nie mam w tym żadnego interesu; szaleństwo, które pana oburza, zrobiłam najpierw dlatego, aby się zabawić, a po wtóre, aby dopomóc mojej przyjaciółce. Chciałam – dodała Vanina odzyskując uprzejmy ton – chciałam oddać usługę miłemu człowiekowi, który niebawem będzie moim wujem i który, jak wszystko pozwala się spodziewać, wysoko podniesie losy swej rodziny.

Minister porzucił wyraz niechęci; piękność Vaniny przyśpieszyła zapewne tę nagłą zmianę. Znana jest w Rzymie słabość monsignora Catanzara do ładnych kobiet; Vanina zaś, w swoim przebraniu, w obcisłych jedwabnych pończochach, w czerwonej kamizelce, w niebieskim fraczku ze srebrnymi galonami, z pistoletem w dłoni – była czarująca

– Moja przyszła bratanico – rzekł minister prawie ze śmiechem – puszczasz się na wielkie szaleństwo, i pewnie nie ostatnie.

– Mam nadzieję, że osobistość tak roztropna – odparta Vanina – dochowa mi tajemnicy, zwłaszcza wobec don Livia; aby cię do tego zachęcić, drogi wujaszku, jeśli przyrzekniesz życie protegowanemu mojej przyjaciółki, dam ci całusa.

Tak wiodąc rozmowę w tonie wpółzartobliwym w jakim damy rzymskie umieją załatwiać najważniejsze sprawy, Vanina zdołała nadać temu spotkaniu, zaczętemu z pistoletem w dłoni, charakter wizyty młodej księżnej Savelli u wuja swego, gubernatora Rzymu.

Niebawem monsignor Catanzara, odtrącając dumnie myśl, aby miał sobie coś pozwolić narzucić postrachem, zaczął tłumaczyć bratanicy trudności, z jakimi byłoby połączone ocalenie Pietra. Tak rozmawiając, minister przechadzał się z Vaniną po pokoju; wziął karafkę lemoniady, która stała na kominku, i napenił kryształową szklanekę. W chwili gdy miał ją podnieść do ust, Vanina chwyciła ją i, potrzymawszy jakiś czas, upuściła na ogród niby przez roztargnienie. W chwilę potem minister wyjął czekoladową pastylkę z bombonierki; Vanina odebrała mu ją i rzekła śmiejąc się:

– Uważaj, wujaszku, u ciebie wszystko jest zatrute; śmierć twoja była już postanowiona. To ja uzyskałam łaskę dla mego przyszłego wuja, aby nie wejść w rodzinę Savelli z próżnymi rękami.

Minister, wielce zdziwiony, podziękował bratanicy i uczynił jej nadzieję co do ocalenia Pietra.

– Dobiliśmy targu! – wykrzyknęła Vanina. – A oto nagroda – dodała ściskając go. Minister przyjął nagrodę.

– Trzeba ci wiedzieć, droga Vanino – dodał – że ja nie lubię krwi. Zresztą – mimo że w twoich oczach mogę się wydawać stary – jestem jeszcze młody i mogę doczekać epoki, w której wylana dzisiaj krew będzie plamą.

Biła druga, kiedy monsignor Catanzara odprowadził Vaninę do furtki.

Kiedy w dwa dni później minister zjawił się u papieża, dość zakłopotany krokiem, który miał podjąć, Jego Świątobliwość rzekł:

– Przede wszystkim, kochany Catanzara, mam cię prosić o łaskę. Jednego z tych karbonariuszów z Forli skazaliście na śmierć, ta myśl nie daje mi spać; trzeba ocalić tego człowieka.

Minister, widząc, że intencje papieża są stanowcze, zaczął wynajdywać trudności, wreszcie napisał dekret *motu proprio*, który papież, wbrew zwyczajowi, podpisał.

Vaninie przyszło na myśl, że zdobędzie może ułaskawienie dla swego kochanka, ale że go będą próbowali otruć. Już poprzedniego dnia Missirilli otrzymał od księdza Cari, swego spowiednika, kilka paczek sucharów z ostrzeżeniem, aby nie tykał pokarmów dostarczonych przez zarząd więzienia.

Dowiedziawszy się, że karbonariuszów forleńskich mają przewieźć do zamku San Leo, Vanina spróbowała ujrzeć Pietra po drodze, w Citta Castellana; przybyła do tego miasta na dobę przed więźniami; zastała tam księdza Cari, który ją poprzedził o kilka dni. Uzyskał u dozorca, że Missirilli będzie mógł wysłuchać mszy św. o północy w kaplicy więziennej. Posunięto się dalej: jeżeli Missirilli zgodzi się, aby mu związano ręce i nogi łańcuchem, dozorca cofnie się aż do drzwi kaplicy, w ten sposób, aby wciąż widzieć jeńca, za którego jest odpowiedzialny, ale aby nie słyszeć, co będzie mówił.

Dzień, który miał rozstrzygnąć o losie Vaniny, nadszedł wreszcie. Od rana zamknęła się w kaplicy więziennej. Kto zdoła wyrazić myśli miotające nią w ciągu tego długiego dnia? Czy Missirilli kocha ją na tyle, aby przebaczyć? Wydała jego *vente*, ale ocaliła mu życie. Kiedy rozsądek brał górę w tej udręczonej duszy, Vanina miała nadzieję, że Pietro zgodzi się opuścić Włochy wraz z nią; jeśli zgrzeszyła, to z nadmiaru miłości. Wybiła czwarta; Vanina usłyszała z daleka na bruku łoskot kopyt końskich; to byli karabinierzy. Odgłos każdego kroku rozbrzmiewał w jej sercu. Niebawem poznała turkot wózków, na których jechali więźniowie. Zatrzymali się przed więzieniem; ujrzała, jak dwóch karabinierów dźwiga Pietra, który siedział sam na wózku w tak ciężkich kajdanach, że nie mógł się ruszać. „Żyje bodaj! – powiada sobie ze łzami w oczach – nie otruli go jeszcze!” Wieczór był okrutny; wysoko nad ołtarzem płonęła lampka, na której dozorca oszczędzał oliwy, i to było całe oświetlenie tej posępnej kaplicy. Oczy Vaniny błądziły po grobowcach jakichś średniowiecznych magnatów, zmarłych w przyległym więzieniu. Posągi ich miały wyraz okrucieństwa.

Wszelkie odgłosy ustały od dawna; Vanina tonęła w czarnych myślach. Nieco po północy usłyszała szelest, lekki niby skrzydła nietoperza. Chciała podejść i padła wpółzemdlna u balustrady ołtarza. W tej samej chwili dwa widma znalazły się tuż przy niej, nie słyszała, kiedy przybyły. Byli to dozorca i Missirilli, tak spętany kajdanami, że był niby w powijakach. Dozorca skierował latarkę, którą postawił na balustradzie koło Vaniny, tak aby dobrze widzieć więźnia. Następnie cofnął się aż do drzwi. Zaledwie dozorca się oddalił, Vanina rzuciła się na szyję Pietra. Tuląc go w ramionach, czuła jedynie zimne i ostre żelazo „Kto go ubrał w te kajdany?” – pomyślała. Nie znajdowała żadnej rozkoszy w uściskach kochanka. Do tego bólu przyłączył się inny, dotkliwszy: sądziła chwilę, że Missirilli świadom jest jej zbrodni, tak powitanie jego było lodowate.

– Droga Vanino – rzekł wreszcie – boleję nad miłością, jaką w tobie zbudziłem; daremnie szukam w sobie zalet, które mogłyby cię nią natchnąć. Wróćmy, wierzaj, do bardziej chrześcijańskich uczuć, zapomnijmy o złudzeniach, które nas niegdyś odurzyły. Nie mogę być twoim. Nieszczęście, które prześladowało moje zamiary, to może pokuta za stan śmiertelnego grzechu, w jakim się wciąż znajduję. Gdyby nawet sądzić rzeczy ludzkim rozsądkiem: czemu nie uwięziono mnie wraz z przyjaciółmi owej nieszczęsnej nocy w Forli? Czemu w godzinie niebezpieczeństwa nie byłem na stanowisku? Czemu moja nieobecność mogła uprawnić najdotkliwsze podejrzenie? Hodowałem w sercu inną miłość niż miłość Włoch.

Vanina nie mogła ochłonać ze zdumienia nad odmianą kochanka. Mimo iż nie wychudł zbytnio, wyglądał na lat trzydzieści. Vanina przypisywała tę zmianę złemu obejściu, jakie cierpiał w więzieniu; rozplakała się.

– Och! – rzekła – dozorczy tak przyrzekli, że będą dla ciebie względni.

Faktem jest, iż w pobliżu śmierci wszystkie uczucia religijne dające się pogodzić z miłością Włoch zbudziły się w sercu młodego *carbonaro*. Stopniowo Vanina spostrzegła, że zdumiewająca odmiana, jaką znalazła w kochanku, jest natury czysto moralnej i bynajmniej nie wynika z fizycznych udręczeń. Boleść jej, która zdawała się jej ostateczna, wzmożła się jeszcze.

Missirilli milczał; Vanina dławiła się od płaczu. Pietro dodał, sam nieco wzruszony:

– Jeżeli kochał coś na ziemi, to ciebie, Vanino, ale dzięki Bogu, mam już tylko jeden cel w życiu: umrzeć w więzieniu lub starając się wrócić wolność Italii.

Znow zapadło milczenie; Vanina na próżno chciała przemówić, nie mogła. Missirilli dodał:

– Obowiązek jest okrutny, droga przyjaciółko; ale gdyby nie było nieco trudu w spełnieniu go, gdzież bohaterstwo? Daj mi słowo, że nie będziesz się już starała mnie widzieć.

Wyciągnął rękę, o ile pozwalał na to dość ciasny łańcuch, i podał palce Vaninie.

– Jeśli zechcesz przyjąć radę od tego, który ci był drogi, wyjdź rozsądnie za mąż za dzielnego człowieka, którego ojciec ci przeznaczą. Nie czyn mu żadnych niemiłych zwierzeń; ale, z drugiej strony, nie staraj się widzieć ze mną; bądźmy obcy dla siebie. Wyłożyłaś znaczną sumę dla służby ojczyzny; jeśli kiedy uwolni się od swoich tyranów, suma ta będzie ci spłacona w dobrach narodowych.

Vanina była zmiażdżona. Kiedy Pietro do niej mówił, oko jego błysło na chwilę jedynie przy słowie *o j c z y z n a*.

Wreszcie дума przyszła z pomocą młodej księżniczce. Zaopatrzyła się w diamenty i ostre piłki; nie odpowiadając Pietrowi, podała mu je.

– Przyjmuję z obowiązku – rzekł – powinienem bowiem starać się umknąć; ale nie ujrzę cię nigdy; przysięgam to w obliczu twych nowych dobrodziejstw. Żegnaj, Vanino; przyrzeknij mi, że nigdy nie będziesz do mnie pisywać, nigdy nie będziesz się starała mnie widzieć; zostaw mnie całego ojczyźnie umarłem dla ciebie, żegnaj.

– Nie – odparła Vanina wściekła – chcę, abyś wiedział, co ja zrobiłam, przez miłość moją dla ciebie.

Opowiedziała mu wszystkie swoje zabiegi od chwili, gdy Missirilli opuścił zamek San Leo, aby się oddać w ręce legata. Skończywszy to opowiadanie, Vanina rzekła:

– To wszystko nic; zrobiłam więcej z miłości ku tobie.

Wówczas wyznała mu swoją zdradę.

– Och! potworze – wykrzyknął Pietro wściekły, rzucając się na nią i próbując ją zatłuc kajdanami.

Byłby tego dokonał gdyby nie dozorca; który przybiegł na pierwsze krzyki. Pochwyił Pietra.

– Masz, potworze, nic nie chcę ci zawdzięczać – rzekł Missirilli do Vaniny, rzucając jej, o ile łańcuchy mu pozwalały, piłki i diamenty i oddalając się szybko.

Vanina została wółmartwa. Wróciła do Rzymu; dzienniki donoszą właśnie; że wyszła za księcia don Livia Savelli.



## KSIĘŻNO PALLIANO

Palermo, 22 lipca 1838

Nie jestem przyrodnikiem; po grecku umiem bardzo średnio; toteż kiedym się wybierał na Sycylię, głównym mym celem nie było obserwować Etnę ani też rzucać jakieś światło dla siebie lub dla drugich na to, co starożytni Grecy powiedzieli o Sycylii. Przede wszystkim szukałem rozkoszy dla oczu, która w tym osobliwym kraju jest zaiste wielka. Podobny jest – powiadają – do Afryki; ale co jest dla mnie zupełnie pewne, to że do Włoch podobny jest jedynie przez swoje pałace namiętności. Jeżeli o kim, to o Sycylianach można powiedzieć, że słowo *n i e p o d o b i e ń s t w o* nie istnieje dla nich z chwilą, gdy zapłoną miłością lub nienawiścią; nienawiść zaś w tym pięknym kraju nigdy nie płynie z interesu pieniężnego.

Uważam, że w Anglii, a zwłaszcza we Francji mówi się często o *w ł o s k i e j n a m i ę t n o ś c i*, o owej nieokiełznanej namiętności, którą spotyka się we Włoszech w XVI i XVII wieku. Za naszych czasów ta piękna namiętność wymarła, zupełnie wymarła w klasach dotkniętych naśladownictwem obyczajów francuskich oraz modnymi formami Paryża lub Londynu.

Można powiedzieć – wiem o tym – że w epoce Karola Piątego (1530) Neapol, Florencja, a nawet Rzym naśladowały po trosze obyczaj hiszpański; ale czyż ten tak szlachetny ustrój nie wspierał się na bezgranicznym szacunku, jaki wszelki człowiek godny tego miana winien mieć dla skłonności swej duszy? Obyczaj ten nie tylko nie wykluczał energii, ale ją podsycał; podczas gdy pierwszą zasadą dudków małpujących księcia de Richelieu, około roku 1760, było *n i e o k a z y w a ć w z r u s z e n i a*. Czyż zasadą dandysów angielskich, których dziś naśladuje się w Neapolu chętniej niż dudków francuskich, nie jest okazywać znużenie wszystkim, wyższość ponad wszystko?

Tak więc już od wieku *n a m i ę t n o ś ć* włoska nie istnieje w wytwornym towarzystwie tego kraju.

Aby sobie stworzyć jakieś pojęcie o włoskiej namiętności, o której nasi romansopisarze mówią z taką pewnością siebie, musiałem sięgnąć do historii; a i to jeszcze *w i e l k a* historia, spisana przez ludzi z talentem i często zbyt majestatyczna, niewiele mówi o tych szczegółach. Szaleństwa raczy protokołować tylko o tyle, o ile popełnili je królowie lub książęta. Zapuściłem się w osobliwą historię każdego miasta, ale przeraziła mnie obfitość materiału. Lada miłościną przedkłada wam dumnie swą historię w drukowanych trzech lub czterech tomach *i n 4-o* i siedmiu lub ośmiu tomach rękopiśmiennych; te ostatnie są prawie nie do odcyfrowania, usiane skrótami, dające literom osobliwe kształty i w najciekawszych miejscach pełne zwrotów używanych w danej okolicy, ale niezrozumiałych o dwadzieścia mil. Albowiem w tej pięknej Italii, gdzie miłość posiada tyle tragicznych

wydarzeń, jedynie trzy miasta: Florencja, Siena i Rzym mówią mniej więcej tak, jak piszą; wszędzie indziej język pisany odległy jest o sto mil od języka mówionego.

To, co się nazywa włoską namiętnością, to znaczy namiętnością która stara się uczynić sobie zadość, nie zaś dać drugim zaszczytne o nas pojęcie, zaczyna się z odrodzeniem społeczeństwa w XII wieku, a gaśnie, przynajmniej w wyższym towarzystwie, około roku 1734. W tym czasie Burboni obejmują berło Neapolu w osobie don Carlosa, z matki Farneze, powtórnie zaślubionej Filipowi V, owemu żalosnemu wnukowi Ludwika XIV, tak nieustraszonemu w gradzie kul, tak znudzonemu i tak rozkochanemu w muzyce. Wiadomo, że przez dwadzieścia cztery lata cudowny kastrat Farinelli śpiewał mu co dzień trzy ulubione arie, zawsze te same.

Filozoficzny umysł może się zainteresować szczegółami namiętności takiej, jaką się spotyka w Rzymie lub w Neapolu; ale wyznaję, że nie widzę nic głępszego niż owe romanse, dające włoskie imiona swoim bohaterom. Czyż nie uznaliśmy za pewnik, że namiętności zmieniają się, skoro się posuniemy o sto mil ku północy? Czyż miłość jest taka sama w Marsylii i w Paryżu? Co najwyżej można powiedzieć, że kraje, mające od dawna jednaką formę rządu, objawiają pewne zewnętrzne podobieństwa obyczajowe.

Jak namiętności, jak muzyka, tak krajobraz zmienia się, skoro się posuniemy o trzy lub cztery stopnie na północ. Krajobraz neapolitański wydałby się niedorzeczny w Wenecji, gdyby nie było przyjęte, nawet we Włoszech, podziwiać piękność Neapolu. W Paryżu robimy jeszcze lepiej: wierzymy, że lasy i pola są zupełnie jednakie w okolicach Neapolu i Wenecji, i chcielibyśmy, aby na przykład Canaletto miał ściśle ten sam koloryt co Salwator Rosa.

A czyż nie jest szczytem śmieszności owa dama angielska, obdarzona wszystkimi doskonałościami swojej wyspy, ale wyraźnie niezdolna, nawet na tej wyspie, odmalować *n i e n a w i ś c i i m i ł o ś c i*, słowem pani Anna Radcliffe, kiedy daje włoskie imiona i wielkie namiętności osobom swego słynnego romansu *Konfesjonal czarnych pokutników*?

Nie będę się starał przydawać wdzięku prostocie oraz rażącej chwilami surowości zbyt prawdziwego opowiadania, które przedkładam pobłażliwości czytelnika; tłumaczę na przykład dosłownie odpowiedź księżnej Palliano na oświadczyzny jej krewniaka Marcelego Capece. Ta kronika rodzinna znajduje się, nie wiem czemu, na końcu drugiego tomu rękopiśmiennej historii Palermo, co do której nie mogę podać żadnych szczegółów.

Opowiadanie to, które – z wielkim żalem – mocno skracam (opuszczam mnóstwo charakterystycznych okoliczności), obejmuje raczej ostatnie przygody nieszczęśliwej rodziny Carafa niż zajmujące dzieje miłości. Próżność autorska szeptem mi, że można byłoby uczynić bardziej zajmującą tę i ową sytuację, szerzej rozwijając – to znaczy zgadując i szczegółowo opowiadając czytelnikowi – uczucia danych osobistości. Ale czy ja, młody Francuz, urodzony na północ od Paryża, mogę mieć pewność, iż trafnie odgadnę to, co się działo w tych włoskich duszach z roku 1559? Mogę co najwyżej zgadnąć, co się wyda miłe i zajmujące czytelnikom francuskim z roku 1838.

Owa namiętność, władająca uczuciami we Włoszech około 1559 roku, żądała czynów nie słów. Toteż w niniejszym opowiadaniu bardzo mało będzie rozmów. Jest to ujemna strona tego przekładu, ile że nawykliśmy do długich rozmów naszych powieściowych bohaterów; rozmowa jest dla nich jak bitwa. Opowieść, dla której dopraszam się pobłażliwości czytelnika, ujawnia pewną właściwość, wprowadzoną we włoskie obyczaje przez Hiszpanów. Nie wyszedłem z roli tłumacza. Wierny obraz sposobu czucia w XVI wieku, a nawet sposobu opowiadania dziejopisa, którym – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – był jakiś szlachcic, dworzanin nieszczęśliwej księżnej Palliano, stanowi moim udaniem główną zaletę tej tragicznej historii, o ile w ogóle ma ona zalety.

Najsurowsza hiszpańska etykieta panowała na dworze księcia Palliano. Zważcie, że każdy kardynał, że każdy książę rzymski miał podobny dwór, a możecie sobie wytworzyć obraz, jaki przedstawiała w roku 1559 cywilizacja Rzymu. Nie zapominajcie, że była to

epoka, kiedy król Filip II, potrzebując dla jakiejś intrygi głosów dwóch kardynałów, dał każdemu z nich dwieście tysięcy franków renty w beneficjach kościelnych. Rzym, mimo iż bez potężnej armii, był centrum świata. Paryż był w roku 1559 miastem dość sympatycznych barbarzyńców.

*Wierny przekład starego opowiadania, spisane go około roku 1566.*

Jan Piotr Carafa, mimo iż pochodzący z jednej z najszlachetniejszych rodzin w Neapolu, miał charakter przykry, szorstki, gwałtowny, wręcz godny pastucha. Przywdział sukienkę (sutannę) i udał się młodo do Rzymu, gdzie znalazł pomoc w faworze swego krewniaka, Oliwiera Carafa, kardynała i arcybiskupa Neapolu. Aleksander VI, ów wielki człowiek, który wiedział wszystko i mógł wszystko, uczynił zeń swego *cameriere* (mniej więcej to, co byśmy dziś nazwali ordynansowym oficerem). Juliusz II mianował go arcybiskupem Chieti; papież Paweł zrobił go kardynałem; wreszcie 23 maja 1555 roku, po straszliwych intrygach i kłótniach kardynałów zamkniętych w konklawe, wybrano go papieżem pod imieniem Pawła IV; miał wówczas siedemdziesiąt osiem lat. Ci sami, którzy go powołali na stolec św. Piotra, zdradzili niebawem widząc srogość i surową, nieubłaganą pobożność pana, którego sobie dali.

Wieść o tej nieoczekiwanej nominacji poruszyła Neapol i Palermo. W krótkim czasie zjawiała się w Rzymie mnogość członków znamienitej rodziny Carafa. Wszyscy otrzymali jakieś stanowiska; ale – rzecz naturalna – papież wyróżnił osobliwie trzech bratanków, synów hrabiego Montorio, swego brata.

Don Juan, najstarszy, już żonaty, został księciem Palliano. Księstwo to, zagarnięte Markowi Antoniemu Collona, do którego wprzód należało, obejmowało mnogość wsi i miasteczek. Carlos, drugi bratanek Jego Świątobliwości, był kawalerem maltańskim i był na wojnie; zrobiono go kardynałem, legatem bolońskim i pierwszym ministrem. Był to człowiek bardzo śmiały; wierny tradycjom rodzinnym, ośmielił się nienawidzić najpotężniejszego króla (Filipa II, króla Hiszpanii i Indii) i dał mu odczuć swą nienawiść. Trzeciego bratanka, don Antonia Carafę, ponieważ był żonaty, papież zrobił margrabią Montebello. Wreszcie córkę brata z pierwszego małżeństwa postanowił wydać za Franciszka, delfina Francji, syna Henryka II; jako posag Paweł IV zamierzał mu dać królestwo Neapolu, które zagarnięto by Filipowi II, królowi Hiszpanii. Rodzina Carafa nienawidziła tego potężnego króla, który wspomagany błędami tejże rodziny zdołał ją później wytępić, jak to zobaczycie.

Od czasu jak wstąpił na tron św. Piotra, tron najpotężniejszy w świecie i zaćmiewający w owej epoce nawet wspaniałego monarchę Hiszpanii, Paweł IV, zarówno jak większość jego następców, roztaczał przykład wszystkich cnót. Był to wielki papież i wielki święty; starał się zreformować nadużycia Kościoła i oddalić w ten sposób sobór powszechny, którego domagano się ze wszystkich stron na dworze w Rzymie, a którego roztropna polityka nie pozwala dopuścić.

Wedle obyczajów nowej epoki, nazbyt już obecnie zapomnianych, stanami Jego Świątobliwości rządili samowolnie jego bratankowie, ile że monarcha nie mógł pokładać zaufania w ludziach, którzy by mieli interesy różne od jego interesów. Kardynał był pierwszym ministrem i wspierał radą stryja: księcia Palliano mianowano generałem armii świętego Kościoła; a margrabia Montebello, kapitan gwardii pałacowej, wpuszczał jedynie tych których mu się spodobało. Niebawem ci młodzi ludzie zaczęli się dopuszczać największych nadużyć; zaczęli od przywłaszczania sobie majątku osób przeciwnych ich rządowi. Mieszkańcy nie wiedzieli, do kogo się udać, aby uzyskać sprawiedliwość. Nie tylko trzeba im było drzeć o swoje mienie, ale – rzecz okropna do powiedzenia w ojczyźnie czystej

Lukrecji! – cześć ich żon i córek nie była bezpieczna. Książę Palliano i jego bracia porywali najpiękniejsze kobiety; wystarczyło, aby która miała nieszczęście wpaść im w oko. Patrzano ze zdumieniem na to, że nie mają żadnego względu dla szlachectwa krwi; ba, co o wiele cięższe, nie wstrzymywała ich święta klauzula klasztoru. Lud, doprowadzony do rozpacz, nie wiedział, gdzie nieść swoje skargi, taką groźbę budzili trzej bracia w całym otoczeniu papieża; byli zuchwali nawet wobec ambasadorów.

Książę zaślubił, jeszcze przed wyniesieniem swego stryja, Violantę Cardone, z rodziny hiszpańskiego pochodzenia, należącej w Neapolu do najznamienitszych.

Należała do Seggio di nido.

Violanta, słynna z rzadkiej piękności i wdzięku, jaki umiała przybrać, kiedy chciała być miła, jeszcze sławniejsza była z szalonej dumy. Ale trzeba być sprawiedliwym; trudno sobie wyobrazić kobietę górniej myślącą, co okazała dowodnie światu, nie wyznając nic przed śmiercią kapucynowi, który ją spowiadał. Umiała na pamięć i wygłaszała z nieskończonym wdziękiem cudnego *Orlanda* messer Ariosta, mnóstwo sonetów boskiego Petrarke, powiastki z *Pecorone* etc. Ale jeszcze bardziej była urocza, kiedy raczyła zabawiać towarzystwo osobliwymi myślami, jakie rodziły się jej w głowie.

Miała syna, który nosił miano księcia de Cavi. Brat jej, D. Ferrand, hrabia d'Aliffe, przybył do Rzymu znęcony pomyślnością szwagra.

Książę Palliano trzymał wspaniały dwór; młodzieńcy z pierwszych rodzin w Neapolu walczyli o zaszczyt należenia doń. Wśród tych, którzy mu byli najmilsi, Rzym wyróżnił swoim podziwem Marcelego Capece (z Segio di nido), młodego kawalera, słynnego w Neapolu z dowcipu, jak nie mniej z boskiej piękności, którą otrzymał od nieba. Ulubienicą księżnej była Diana Brancaccio, licząca wówczas trzydzieści trzy lata, bliska krewna margrabin Montebello, jej bratowej. Powiadano w Rzymie, że dla tej faworyty wyrzekła się swej dumy; zwierzała jej wszystkie tajemnice. Ale te tajemnice odnosiły się tylko do polityki; księżna budziła namiętności, lecz nie podzielała żadnej.

Z porady kardynała Carafa papież wydał wojnę królowi hiszpańskiemu, a król Francji posłał papieżowi na pomoc armię pod dowództwem księcia de Guize.

Ale trzeba nam się trzymać wypadków domowych na dworze księcia Palliano.

Capece był od dawna jak szalony; dziwaczne jego postęпки zwracały powszechną uwagę. Faktem jest, że biedny młodzieniec rozkochał się do szaleństwa w księżnej, swojej pani, ale nie śmiał jej tego wyznać. Mimo to wierzył, iż dojdzie do celu, ile że księżna była wielce zagniewana na męża, który ją zaniebował. Książę Palliano był wszechwładny w Rzymie i księżna wiedziała z pewnością, że prawie co dzień najslawniejsze z piękności damy rzymskie odwiedzają jej męża w jego własnym pałacu, a to był afront, z którym nie mogła się pogodzić.

Wśród kapelanów świątobliwego papieża Pawła IV znajdował się czcigodny mnich, z którym papież odmawiał brewiarz. Człowiek ten, narażając własne gardło, może namówiony przez hiszpańskiego ambasadora, ośmielił się pewnego dnia odkryć papieżowi wszystkie zbrodnie jego bratanków. Ojciec święty rozchorował się ze zgrzyoty; chciał wątpić, ale przytłoczyły go dowody napływające ze wszystkich stron. Właśnie w pierwszy dzień 1559 roku zaszedł wypadek, który utrwalił papieża w podejrzeniach i może go zdecydował. Właśnie zatem w dzień obrzezania naszego Zbawiciela (która to okoliczność znacznie obciążała winę w oczach tak pobożnego władcy) Andrzej Lanfranchi, sekretarz księcia Palliano, wydał wspaniałą wieczerzę dla kardynała Carafa; a iżby do uciech Bachusa nie brakło uciech Wenery, sprowadził na tę wieczerzę Martuccję, jedną z najpiękniejszych, najslawniejszych i najbogatszych kurtyzan szlchetnego miasta Rzymu. Fatalność chciała, iż Capece, faworyt księcia, ten sam, który potajemnie kochał się w księżnej i uchodził za najpiękniejszego mężczyznę w stolicy świata, utrzymywał od jakiegoś czasu stosunki z Martuccją. Tegoż wieczora szukał jej wszędzie, gdzie mógł mieć nadzieję, że ją spotka. Nie

znalazłszy jej nigdzie i dowiedziawszy się, że Lanfranchi wydaje wieczerzę, powziął podejrzenie i koło północy zjawił się u Lanfranchiego w towarzystwie wielu zbrojnych.

Otworzono mu drzwi, zaproszono go, by usiadł i wziął udział w zabawie; ale po kilku dość oschłych siewach dał znak Martuccji, aby wstała i wyszła z nim. Gdy się wahała, zmieszana i przewidując, co ją czeka, wziął ją za rękę, chcąc ją pociągnąć za sobą. Kardynał, na którego cześć Martuccja przybyła, sprzeciwił się żywo jej odejściu; ale Capecece silił się wyciągnąć ją z sali.

Kardynał – minister, który tego wieczora przywdział strój zgoła nie zdradzający jego wysokiej godności, dobył szpady i z całą swą znaną w Rzymie odwagą i energią zaprotestował przeciw uprowadzeniu dziewczyny. Marceli, pijany gniewem, zawołał swych ludzi, ale byli to przeważnie Neapolitańczycy: kiedy poznali księżęcego sekretarza, a następnie kardynała, którego skryło im zrazu niezwykle przebranie, nie chcieli się bić i silili się załagodzić zwadę.

W czasie tego zamętu Martuccja, koło której skupili się wszyscy i którą Marceli przytrzymał za rękę, zdołała się wymknąć. Skoro Marceli spostrzegł jej nieobecność, pognął za nią, a wszyscy znowuż za nim.

Noc była ciemna, z czego zrodziły się najosobliwsze wieści. Rano 2 stycznia wszędzie mówiono w stolicy o zaciętej bitwie, jaką stoczyli (powiadano) kardynał – bratanek z Marcelim Capecece. Księżę Palliano, naczelny wódz armii Kościoła, uznał sprawę za poważniejszą o wiele, niż była; że zaś nie był zbyt dobrze z bratem swoim, ministrem, tej samej nocy kazał uwięzić Lanfranchiego, a nazajutrz wczesnym rankiem i Marceli znalazł się w więzieniu. Niebawem spostrzeżono, że nikt nie postradał życia i że te kroki pomnożyły jedynie zgorzenie, które w całości spadło na kardynała. Czym prędzej uwolniono więźniów, a bracia zespolili swą olbrzymią władzę, aby zdławić sprawę. Sądziło się, że im się to uda; ale trzeciego dnia wieść o wszystkim doszła uszu papieża. Kazał wezwać dwóch bratanków i przemówił do nich tak, jak mógł przemówić monarcha pobożny i głęboko obrażony.

Piątego stycznia, w którym to dniu zebrała się wielka liczba kardynałów w kongregacji *sancti officii*, Ojciec święty pierwszy przemówił o tej okropnej sprawie; spytał obecnych kardynałów, w jaki sposób ośmielili się nie donieść mu o niej.

– Milczycie? A wszak zgorzenie dotyka wysokiej godności, w którą was obleczone! Kardynał Carafa ośmielił się zjawić na ulicy w świeckim stroju i z gołą szpadą w dłoni. I po co? Aby gonić bezwstydną kurtyzanę!

Można sobie wyobrazić śmiertelną ciszę, jaka zaległa wśród dworaków w czasie podobnego ataku na pierwszego ministra. To starzec osiemdziesięcioletni grzmiał na ukochanego bratanka, dotąd panującego nad nim samowładnie. W oburzeniu swoim papież chciał odebrać bratankowi kapelusz kardynalski.

Podsycił jeszcze gniew papieża ambasador wielkiego księcia Toskanii, który przyszedł się żalić na jakieś świeże zuchwalstwo pierwszego ministra. Ów kardynał, dotąd tak potężny, zjawił się u Jego Świątobliwości na zwykłą pracę. Papież wytrzymał go całe cztery godziny w przedpokoju, wyczekującego na oczach wszystkich, po czym odprawił go bez posłuchania. Łatwo sobie wyobrazić, co musiała cierpieć niepohamowana duma ministra. Kardynał był wzburzony, ale nie skruszony; myślał, iż starzec przyciśnięty wiekiem, całe życie oddychający miłością rodziny, a wreszcie mało nawykły do załatwiania świeckich spraw, będzie musiał się uciec do jego pomocy. Ale cnota świątobliwego papieża zwyciężyła; zwołał kardynałów i długo popatrzywszy na nich bez słowa, w końcu zalał się łzami i nie zawahał się kajać niejako przed nimi.

– Niemoc wieku – rzekł – oraz troska, z jaką oddaję się sprawom religii, w których, jak wam wiadomo, pragnę wytepić wszystkie nadużycia, skłoniły mnie do tego, aby oddać władzę świecką trzem bratankom; nadużyli jej, wypędzam ich na zawsze.

Odczytano następnie *breve*, które odejmowało bratankom wszystkie godności i wypędzało ich do nędznych wiosek. Kardynała – ministra wygnano do Civita Lavinia; księcia Palliano do Soriano, a margrabiego do Montebello; *breve* to odejmowało księciu jego pensje, które dochodziły siedemdziesięciu dwóch tysięcy plastrów (więcej niż milion z roku 1838).

Nie mogło być mowy o złamaniu tych surowych rozkazów. Carafowie mieli wrogów i kontrolerów w ludzie całego Rzymu, który ich nienawidził.

Księżę Palliano wraz z hrabią d'Aliffe, swoim szwagrem, oraz Leonardom del Cardine zamieszkał w miasteczku Soriano, gdy księżna i jej teściowa osiadły w Gallese, nędznym siole niespełna o dwie mile.

Są to urocze miejscowości, ale dla nich to była banicja: wypędzono ich z Rzymu, gdzie dotąd władali tak zuchwale.

Marceli Capece podążył wraz z innymi dworzanami za swą panią do miejsciny przeznaczonej na jej wygnanie. W miejsce hołdów całego Rzymu ta kobieta tak potężna kilka dni wprzód i zażywająca władzy z upojeniem dumy ujrzała dokoła siebie jedynie prostych chłopów, których zdziwienie tym żywiej przypominało jej upadek. Nie widziała żadnej pociechy, stryj był tak sędziwy, że prawdopodobnie nie zdążyłby już przed śmiercią odwołać bratanków. Na domiar nędzy bracia nienawidzili się między sobą; szeptano zgoła, że księżę i margrabia, którzy nie podzielali nieokiełzanych namiętności kardynała, przerażeni jego wybrykami, postarali się go oskarżyć przed stryjem swym, papieżem.

Wśród tej głębokiej i straszliwej niełaski zdarzyła się rzecz, która – na nieszczęście księżnej i samego Capece – okazała, iż wówczas w Rzymie nie prawdziwa miłość pociągnęła Capecego w trop Martuccji.

Pewnego dnia, kiedy księżna zawołała go, aby mu dać jakiś rozkaz, znalazł się z nią sam: rzecz, która nie zdarzała się ani dwa razy na rok. Ujrawszy, że nie ma nikogo w sali, Capece stał nieruchomy i milczący. Podeszedł do drzwi, aby zobaczyć, czy go nikt nie może słyszeć w sąsiedniej sali, po czym ośmielił się przemówić tak:

– Pani, nie obruszaj się i nie przyjmij z gniewem szczególnych słów, które odważę się wyrzec. Od dawna kocham cię bardziej niż życie. Jeżeli, wyzbywszy się wszelkiej rozwagi, ośmieliłem się patrzeć wzrokiem kochanka na twe boskie powaby, nie przypisuj winy tego mnie, ale nadprzyrodzonej sile, która mnie popycha i mną porusza. Jestem na mękach, płonę ogniem; nie żądam ulgi dla płomienia, który mnie trawi, ale jedynie błagam, aby twoja wspaniałomyślność ulitowała się nad sługą pełnym lęku i pokory.

Księżna zdawała się zdumiona, a bardziej jeszcze pogniwana.

– Powiedz, Marceli – rzekła – cóżes ujrzał takiego we mnie, co by ci dało śmiałość mówienia mi o miłości? Czy życie moje, czy moje zachowanie tak bardzo odbiega od prawideł obyczajności, abys się ważył na takie zuchwalstwo? Jakżeś ty się ośmielił przypuszczać, że ja mogłabym się oddać tobie lub innemu mężczyźnie poza moim panem i małżonkiem? Przebaczam ci to, coś mi powiedział, bo myślę, żeś oszalał; ale strzeż się popełnić jeszcze raz coś podobnego, lub przysięgam ci, że cię skarzę wraz za pierwsze i za drugie zuchwalstwo.

Księżna oddaliła się w gniewie; w istocie Capece począł sobie nieroztropnie: trzeba było pozwolić się domyślać, a nie mówić. Zmieszał się wielce, obawiając się, aby księżna nie opowiedziała wszystkiego mężowi.

Ale dalszy ciąg był wielce odmienny od tego, czego się obawiał. W tej wiejskiej samotności dumna księżna Palliano nie mogła się wstrzymać, aby nie zwierzyć swej ulubionej dworcy, Dianie Brancaccio, tego, co się jej ktoś ośmielił powiedzieć. Diana była to kobieta trzydziestoletnia, trawiona namiętnościami. Miała rude włosy (kronikarz wraca kilka razy do tego szczegółu, który widocznie tłumaczy mu wszystkie szaleństwa Diany). Kochała do obłędu Domicjana Fornari, szlachcica przy dworze margrabiego Montebello. Chciała go zaślubić: ale czy margrabia i jego żona, z którymi miała zaszczyt być spokrewniona,

zgodziliby się kiedy, aby zaślubiła człowieka będącego w ich służbie? Była to przeszkoda nie do zwalczenia, tak się przynajmniej zdawało.

Była tylko jedna nadzieja pozwolenia: trzeba było uzyskać poparcie księcia Palliano, starszego brata margrabiego, i Diana miała niejaki nadzieje w tej mierze. Księżę uważał ją bardziej za krewną niż za domownicę. Był to człowiek prostego serca i dobry, o wiele mniej od braci zważający na względy surowej etykiety. Mimo że księżę korzystał jak istny młodzieniec ze wszystkich przewag swego dostojęstwa i daleki był od wierności żonie, kochał ją serdecznie i, jak można było mniemać, nie umiałby jej odmówić łaski, gdyby o nią prosiła usilnie.

Wyznanie, jakie Capece ośmielił się złożyć księżnie, zdało się posępnej Dianie nieoczekiwanym szczęściem. Pani jej była dotąd rozpaczliwie cnotliwa; gdyby mogła poznać miłość, gdyby popełniła błąd, na każdym kroku potrzebowałaby Diany: faworyta mogłaby się wszystkiego spodziewać od kobiety, której znałaby tajemnice.

Miał zwrócić uwagę księżnej przede wszystkim na to, co winna jest samej sobie, a następnie na straszliwe niebezpieczeństwa, jakie jej grożą na tak trudnym do oszukania dworze, Diana porwana ogniem swej namiętności mówiła swej pani o Marcelim Capece tak, jak mówiła samej sobie o Domicjanie Fornari. Wśród długich gawęd na tym pustkowiu codziennie znajdowała sposób zwrócenia uwagi księżnej na wdzięk i urodę biednego Marcelego, który zdawał się tak smutny. Należał on, jak księżna, do jednej z pierwszych rodzin w Neapolu, wzięcie miał równie szlachetne jak krew; brakło mu jedynie owych dóbr, które kaprys losu mógł mu dać każdego dnia, aby się stał pod każdym względem równy kobiecie, którą ośmielił się kochać.

Diana spostrzegła z radością, że pierwszym skutkiem tych rozmów było zdwojone zaufanie księżnej.

Nie omieszkła uprzedzić Marcelego, jak rzeczy stoją. Lato było niezwykle upalne, księżna przechadzała się często w lasach otaczających Gallese. O zmierzchu lubiła zażywać morskiego wietrzyku na uroczym wzgórzu wśród lasów, z którego szczytu widzi się morze zaledwie o dwie mile.

Nie uchybiając surowym prawom etykiety, Marceli mógł się znajdować w tym lesie; krył się tam (powiadają) i ukazywał się oczom księżnej dopiero wówczas, gdy była dobrze nastrojona pod wpływem rozmów z Dianą. Wtedy Diana dawała znak Marcelemu.

Diana widząc, że jej pani gotowa jest ulec opłakanej namiętności, którą zbudziła w jej sercu, sama poddała się gwałtownej miłości, jaką zrodził w niej Domicjan Fornari. Odtąd była pewna, że zdoła go zaślubić. Ale Domicjan był to młodzieniec spokojny, o zimnym i oględnym charakterze; zapęły namiętnej kochanki nie tylko go nie przywiązywały, ale niebawem stały mu się niemiłe. Diana Brancaccio była bliską krewną Carafów; był pewien, że go zasztyletują za najmniejszą wieścią, jaka dojdzie o tej miłostce straszliwego kardynała Carafa, który, mimo iż młodszy od księcia Palliano, był w rzeczywistości głową rodziny.

Księżna dała już od jakiegoś czasu folgę swej miłości do Marcelego Capece, kiedy pewnego pięknego dnia Domicjan Fornari nie pokazał się już we wsi, gdzie był wygnany dwór margrabiego Montebello. Znikł; dowiedziano się później, że wsiadł na statek w małym porcie Nettuno; bez wątpienia zmienił nazwisko i słuch o nim zaginął.

Któż zdoła odmalować rozpacz Diany? Wysłuchawszy z dobrocią jej żalów, pewnego dnia księżna Palliano dała jej do zrozumienia, że ten temat rozmowy zdaje się jej wyczerpany. Serce Diany, tak wzgardzonej przez kochankę, przechodziło okrutne wzruszenia; wysnuła najdziksze wnioski z chwili znudzenia, jakie zdradziła księżna słysząc jej ustawiczne żale. Diana uroiła sobie, że to księżna nakłoniła Domicjana, aby ją rzucił na zawsze, i co więcej dostarczyła mu środków na podróż. Ta szalona myśl wspierała się jedynie na kilku napomnieniach, których księżna udzieliła jej niegdyś. W ślad za podejrzeniem poszła zemsta.

Poprosiła księcia o posłuchanie i opowiedziała mu wszystko, co się dzieje między jego żoną a Marcelim. Książę nie chciał dać wiary.

– Pomyśl – rzekł – że przez piętnaście lat nie miałem najmniejszej rzeczy do zarzucenia mojej żonie; oparła się pokusom dworu i pokusom świetnej pozycji, którą mieliśmy w Rzymie; najpowabniejsi książęta, sam książę de Guize, nie zdołali nic wskórać, i ty mi chcesz wmówić, że uległa prostemu giermkowi?

Nieszczęście chciało, że książę nudził się mocno w Soriano, wiosce przeznaczonej mu za miejsce wygnania, a odległej niespełna o dwie mile od siedziby jego żony; dzięki temu Diana mogła uzyskać cały szereg audiencji, zgoła bez świadomości księżnej. Diana była kobietą bardzo niepospolitą; namiętność uczyniła ją wymowną. Podała księciu mnóstwo szczegółów; zemsta stała się jedyną jej rozkoszą. Powtarzała mu, że prawie co dzień Capece wślizguje się do pokoju księżnej o jedenastej wieczór, a opuszcza go aż o drugiej lub trzeciej rano. Wszystko to przyjmował zrazu książę tak obojętnie, że nie chciał sobie zadać trudu zrobienia dwóch mil o północy, aby przybyć do Gallese i wejść zniemacka do sypialni żony.

Ale pewnego wieczora, kiedy się znalazł w Gallese już po zachodzie słońca, ale jeszcze za dnia, Diana wpadła z rozwianym włosom do pokoju, gdzie był książę. Wszyscy się oddalili, a ona powiedziała mu, że Marcelli Capece wszedł do sypialni księżnej. Książę, widocznie źle usposobiony w tej chwili, wziął sztylet i pobiegł do pokoju żony: wszedł ukrytymi drzwiczkami. Zastał Marcelego Capece. Na jego widok kochankowie zbledli; ale nie było nic nagannego w pozycji, w jakiej się znajdowali. Księżna leżała w łóżku, zajęta zapisywaniem jakiegoś drobnego wydatku; pokojówka była w komnacie, Marcelli stał o trzy kroki od łóżka.

Książę, wściekły, chwycił Marcelego za gardło, zawłókł go do sąsiedniego pokoju i kazał mu rzucić na ziemię pugnał i sztylet, którymi był zbrojny. Po czym zawołał straż, która odprowadziła go natychmiast do więzienia w Soriano.

Księżnę zostawiono w pałacu, ale pod ścisłą strażą.

Książę nie był okrutny; zdaje się, że miał ochotę ukryć tę haniebną sprawę, aby nie posuwać się do ostatecznych kroków, jakich honor żądałby od niego. Chciał wmówić światu, że Marcelego uwięziono dla zupełnie innej przyczyny; biorąc pozor z kilku ogromnych ropuch, które Marcelli kupił bardzo drogo przed paru miesiącami, rozgłosił, że młodzieniec próbował go otłuć. Ale prawdziwa zbrodnia była zbyt dobrze znana i kardynał, jego brat, kazał go spytać, kiedy zamierza obmyć w krwi winnych zniewagę, jaką ważono się uczynić ich rodzinie.

Książę przybrał sobie hrabiego d'Aliffe, brata żony, oraz Antoniego Torrando, przyjaciela domu. Wszyscy trzej, utworzywszy rodzaj trybunału, złożyli sąd nad Marcelim Capece, oskarżonym o cudzołóstwo z księżną.

Niestałość rzeczy ludzkich zechciała, że papież Pius IV, następca Pawła IV, należał do partii hiszpańskiej. Nie mógł niczego odmówić królowi Filipowi II, który zażądał odeń śmierci kardynała i księcia Palliano. Obu braci oskarżono przed trybunałem, a kroniki procesu, który im wytoczono, podają nam szczegóły śmierci Marcelego Capece.

Jeden z licznych przesłuchanych świadków, zeznaje w tych słowach:

– Byliśmy w Soriano; książę, mój pan, miał długą rozmowę z hrabią d'Aliffe. Wieczorem, bardzo późno, zeszli do lamusa, gdzie książę kazał przygotować sznury, aby wziąć winnego na śledztwo. Byli tam obecni książę, hrabia d'Aliffe, pan Antoni Torrando i ja.

Pierwszym wezwanym świadkiem był kapitan Kamil Griffone, serdeczny przyjaciel i powiernik Capecego. Książę spytał go tak:

– Powiedz prawdę, przyjacielu. Co wiesz o tym, co Marcelli robił w komnacie księżnej?

– Nic nie wiem; od trzech tygodni poróżniłem się z Marcelim.



Gdy się wzdragał powiedzieć więcej, księżę zawołał paru ludzi. Podesta miasta Soriano związał kapitana sznurem. Zbiry podciągnęły sznur, unosząc w ten sposób winnego na cztery palce od ziemi. Skoro tak kapitana potrzymano dobry kawadrans, rzekł:

– Spuście mnie, powiem, co wiem. Kiedy go postawiono na ziemi, straż oddaliła się, a my zostaliśmy z nim sami.

– Prawda, iż kilka razy towarzyszyłem Marcelemu, aż do progu księżnej – rzekł kapitan – ale nie wiem nic, ponieważ czekałem nań w sąsiednim dziedzińcu może do pierwszej z rana.

Natychmiast przywołano z powrotem zbirów, którzy na rozkaz księcia podciągnęli go na nowo, tak że nogi nie dotykały ziemi. Niebawem kapitan wykrzyknął:

– Spuście mnie, powiem prawdę. Prawdą jest – ciągnął – że od kilku miesięcy spostrzegałem, iż Marceli ma stosunki z księżną, i chciałem uwiadomić o tym Waszą Dostojność lub don Leonarda. Księżna posyłała co rano dowiadywać się o Marceliego; dawała mu drobne podarki, między innymi konfitury bardzo starannie przyrządzone i bardzo drogie; widziałem u Marceliego złote łańcuszki ślicznej roboty, które widocznie miał od księżnej.

Po tym zeznaniu odesłano kapitana do więzienia. Sprowadzono odźwiernego księżnej, który powiedział, że nic nie wie; wzięto go na sznur i uniesiono w powietrze. Po pół godzinie rzekł:

– Spuście mnie, powiem, co wiem. Znalazłszy się na ziemi, oświadczył, że nic nie wie; podniesiono go na nowo. Po pół godzinie spuszczone go; wyjaśnił, iż od niedawna dopiero przydany jest do osobistych usług księżnej. Ponieważ było możliwe, że ten człowiek nic nie wie, odesłano go do więzienia. Wszystko to zajęło wiele czasu, ile że za każdym razem oddalano zbirów. Chciano, aby straż myślała, że chodzi o usiłowane otrucie trucizną z ropuchy.

Była już późna noc, kiedy księżę kazał wprowadzić Marceliego. Skoro straż wyszła i drzwi zamknięto na klucz, księżę rzekł:

– Coś miał do roboty – spytał – w pokoju księżnej, żeś tam zostawał do pierwszej, drugiej, a niekiedy czwartej rano?

Marceli zaprzeczył wszystkiemu; zawołano zbirów i zawieszono go; sznur wykręcił mu ramię; nie mogąc znieść bólu, prosił, aby go spuszczone. Posadzono go na krześle; zaczął się wikłać w zeznaniach i sam nie wiedział, co mówi. Zawołano zbirów, którzy go podciągnęli na nowo; po długim czasie poprosił, aby go spuszczone.

– To prawda – rzekł – że wchodziłem do pokoju księżnej o tak późnej godzinie; ale to dlatego, że się kochałem z Dianą Brancaccio, damą dworu Jej Dostojności, której obiecałem małżeństwo i która przyzwoliła mi wszystko z wyjątkiem rzeczy przeciwnych czci.

Odprowadzono Marceliego do więzienia; postawiono mu do oczu kapitana i Dianę, która zaprzeczyła wszystkiemu.

Następnie odprowadzono Marceliego do sali; kiedyśmy byli blisko drzwi, Marceli rzekł:

– Wasza Dostojność, księżę pamięta, że przyrzekł mnie darować życiem, jeśli powiem całą prawdę. Nie trzeba mnie brać na sznur, powiem wszystko.

Za czym zbliżył się do księcia i ledwie słyszalnym głosem wyznał, jako prawdą jest, że go księżna obdarzała swoimi względami. Na te słowa księżę rzucił się na Marceliego i ugryzł go w policzek; po czym wydobył sztylet i ujrzałem, że chce ugodzić winnego. Rzekłem wówczas, że byłoby dobrze, aby Marceli napisał własną ręką to, co wyznał, i że to pismo posłużyłoby za usprawiedliwienie Jego Dostojności. Weszliśmy do sali, gdzie znajdował się przybór do pisania; ale sznur tak zranił Marceliego w ramię i w rękę, że zdołał tylko napisać te słowa: „Tak, zdradziłem mego pana; tak, skałałem jego cześć!”

Księżę czytał w miarę, jak Marceli pisał. W tej chwili rzucił się na Marceliego i zadał mu trzy ciosy sztyletem, które Marcelemu odjęły życie. Diana Brancaccio stała tam o trzy kroki, w półzywa, i żałowała z pewnością tysiąc razy tego, co uczyniła.

– Kobieto niegodna swego szlchetnego urodzenia! – wykrzyknął książę; ty jedyna przyczyno mojej hańby, nad którą pracowałaś, izby ci służyła do twoich plugawych uciech! Musisz otrzymać nagrodę za wszystkie swoje zdrady.

To mówiąc, chwycił ją za włosy i przeciął Jej gardło nożem. Nieszczęśliwa oddała strumień krwi i padła martwa.

Książę kazał rzucić oba trupy do kloaki w pobliżu więzienia.

Młody kardynał Alfons Carafa, syn margrabiego Montebello, jedyny z całej rodziny, którego Paweł IV zachował przy sobie, uważał sobie za obowiązek opowiedzieć mu ten wypadek. Papież rzekł tylko te słowa:

– A z księżną co?

Sądzono powszechnie w Rzymie, że te słowa powinny spowodować śmierć nieszczęśliwej kokietki. Ale książę nie mógł się zdobyć na tę ofiarę, czy że księżna była brzemienna, czy z powodu nadzwyczajnej czułości, jaką niegdyś żywił dla niej.

W trzy miesiące po wielkim akcie cnoty, który spełnił święty papież rozłączając się z całą rodziną, Paweł IV zachorzał i po drugich trzech miesiącach choroby oddał ducha 18 sierpnia roku 1559.

Kardynał pisał list po liście do księcia Palliano, powtarzając mu bez ustanku, że ich honor wymaga śmierci księżnej. Dowiedziawszy się o śmierci stryja i nie wiedząc, jakie może być usposobienie nowego papieża, chciał, aby wszystko załatwiono w najkrótszym czasie.

Książę, człowiek prosty, dobry i o wiele mniej drażliwy od kardynała na punkcie honoru, nie mógł się zdobyć na straszną ostateczność, jakiej odeń wymagano. Powiadał sobie, że on sam nieraz sprzeniewierzył się księżnej, i to nie zadając sobie najmniejszego trudu, aby się ukrywać, i że te jego zdrady mogły kobietę tak dumną pchnąć do zemsty. Kardynał, jeszcze w chwili gdy miał się udać na konklawe, po wysłuchaniu mszy i przyjęciu komunii świętej, napisał do brata, że go dręczą te ustawiczne odwołki i że jeśli książę nie namyśli się uczynić wreszcie zadość honorowi rodziny, on, kardynał, zaklina się, że nie będzie się już mieszał do jego spraw ani też nie będzie się starał być mu użyteczny w czasie konklawy ani u nowego papieża. Może inna racja, obca sprawom honoru, przyczyniła się do decyzji księcia. Mimo że księżnę strzeżono pilnie, znalazła podobny sposób, aby uwiadomić Marka Antoniego Colonna, zawziętego wroga księcia (z przyczyny księstwa Palliano, które mu książę był zagarnął), że jeśli Marek Antoni zdoła jej ocalić życie i oswobodzić ją, ona w zamian wyda mu fortecę Palliano, nad którą dowództwo ma człowiek jej oddany.

28 sierpnia 1559 roku książę posłał do Gallese dwie kompanie żołnierzy. Trzydziestego D. Leonard del Cardine, krewny księcia, i D. Farrant, hrabia d'Aliffe, brat księżnej, przybyli do Gallese i udali się do pokoju księżnej, aby ją zgładzić. Oznajmili jej śmierć, przyjęła tę wiadomość bez żadnego wzruszenia. Chciała się przedtem wypowiadać i wysłuchać mszy świętej. Kiedy następnie ci dwaj panowie zbliżyli się do niej, zauważyła, że nie są zgodni z sobą. Spytała, czy jest rozkaz księcia na to, aby ją zgładzić.

– Tak, pani – odparł D. Leonard.

Księżna życzyła sobie ujrzeć rozkaz, D. Farrant pokazał go jej.

(Znajduję w procesie księcia Palliano zeznania mnichów, którzy byli świadkami tego okropnego wydarzenia. Te zeznania są o wiele jaśniejsze niż zeznania innych świadków, co pochodzi, jak sądzę stąd, że zakonnicy mogli zeznawać przed sądem bez lęku, gdy inni świadkowie byli mniej lub więcej współnikami swego pana).

Brat Antoni z Pawii, kapucyn, tak zeznawał:

– Po mszy, podczas której księżna przyjęła pobożnie świętą komunię i podczas gdyśmy ją krzepili słowy, hrabia d'Aliffe, brat księżnej pani, wszedł do pokoju ze sznurem i z leszczynowym prętem, grubym na palec, a może na pół łokcia długim. Zakrył oczy księżnej chustką, którą ona, z zupełnym spokojem, zasunęła bardziej na oczy, aby go nie widzieć.

Hrabia założył jej sznur na szyję; ale ponieważ niedobrze przylegał, zdjął go i oddalił się o kilka kroków; księżna, słysząc, że odchodzi, zdjęła chusteczkę z oczu i rzekła;

– I co? Cóż się dzieje?

Hrabia odpowiedział:

– Sznur nie przylegał dobrze, pójdę po inny, abyś się nie męczyła.

To mówiąc, wyszedł; niebawem wrócił do pokoju z innym sznurem, założył jej na nowo chusteczkę na oczy, wsunął pręt w pętlę i zakręciwszy, udusił ją. Przez cały czas księżna zachowywała się tak, jak przy zwyczajnej rozmowie.

Brat Antoni z Salazar, drugi kapucyn, kończy zeznanie w te słowa:

– Chciałem wyjść z pokoju przez skrupuł sumienia, aby nie patrzeć na jej śmierć; ale księżna rzekła:

– Nie odchodź stąd, na miłosierdzie nieba. (Tu mnich przytacza okoliczności śmierci, ściśle tak, jak je tu podaliśmy) Dodaje:

– Umarła jak dobra chrześcijanka, powtarzając często „Wierzę, wierzę”.

Dwaj mnisi, którzy widocznie otrzymali od swoich przełożonych upoważnienie, powtarzają w zeznaniach, że księżna wciąż upewniała o swej zupełnej niewinności we wszystkich rozmowach z nimi, przy każdej spowiedzi, a zwłaszcza; na spowiedzi przed mszą, przy której przyjęła świętą komunię. Jeśli była winna, ten upór musiał ją wtrącić do piekła.

W czasie konfrontacji brata Antoniego z Pawii, kapucyna, z D. Leonardem del Cardine braciszek rzekł:

– Towarzysz mój zwrócił uwagę hrabiego, że godziłoby się poczekać, aż księżna zlegnie; jest w szóstym miesiącu ciąży – dodał – nie trzeba gubić duszy młodego nieszczęśnika, którego nosi w łonie, trzeba go móc ochrzcić.

Na co hrabia d'Aliffe odpowiedział:

– Wiesz, że mam jechać do Rzymu, nie chcę się tam zjawić z tą maską na twarzy (z tą zniewagą nie pomszczoną).

Ledwie księżna wyzionęła ducha, dwaj kapucyni nalegali, aby bezzwłocznie otworzono ciało dla ochrzczenia dziecka, ale hrabia ani D. Leonard nie dali ucha ich prośbom.

Nazajutrz księżnę pogrzebano w miejscowym kościele z niejaką uroczystością (czytałem protokół). Wydarzenie to o którym wieść rozeszła się niebawem, nie zrobiło zbytniego wrażenia, spodziewano się go od dawna; niejednokrotnie już głościono o tej śmierci w Galliese i Rzymie. Zresztą mord poza obrębem miasta i w chwili wakansu stolicy apostolskiej nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. Konklawe, które nastąpiło po śmierci Pawła IV, było bardzo burzliwe i trwało nie mniej niż cztery miesiące.

26 grudnia biedny kardynał Carlo Carafa musiał przyczynić się do wyboru kardynała popieranego przez Hiszpanię, tym samym niezdolnego odmówić żadnych kroków, których Filip II zażądałby przeciw temuż kardynałowi Carafa. Nowo obrany papież przybrał miano Piusa V.

Gdyby kardynał nie był na wygnaniu w chwili śmierci stryja, byłby się stał panem wyboru lub bodaj mógłby zapobiec wyborowi wroga.

Wkrótce potem uwięziono kardynała, zarówno jak księcia; najwidoczniej Filip II wydał wyrok na nich. Mieli odpowiadać na czternaście punktów oskarżenia. Przesłuchano wszystkich, którzy mogli oświetlić tych czternaście punktów. Proces ten, bardzo ściśle przeprowadzony, tworzy dwa tomy *in folio*, które przeczytałem z zajęciem, ponieważ spotyka się tam na każdej stronie rysy obyczajowe, których historycy nie uznali za godne majestatu historii. Znalazłem tam malownicze szczegóły, dotyczące usiłowań morderstwa, skierowanych przez partię hiszpańską przeciw kardynałowi Carafa, wówczas wszechwładnemu ministrowi.

Zresztą i jego brata skazano za zbrodnie, które nie były zbrodniami dla nikogo innego, na przykład za to, że uśmiercili kochankę niewiernej żony i samą żonę. W kilka lat później książę Orsini zaślubił siostrę wielkiego księcia Toskanii, posądził ją o niewierność i kazał ją

otruć w samejże Toskanii za zgodą wielkiego księcia, jej brata i nigdy nie poczytano mu tego za zbrodnię. Wiele księżniczek z domu Medyceuszów zginęło w ten sposób.

Kiedy ukończono proces dwóch Carafa, sporządzono długi wyciąg, który na kilka zawodów rozpatrywano na radzie kardynałów. Aż nadto jasne jest, iż z chwilą gdy raz postanowiono skarać śmiercią mord, który był pomstą za cudzołóstwo – występki, którym trybunały nie zaprzętały się nigdy – kardynał winien był, iż naglił brata do zbrodni, jak księżę winien był, że ją kazał wykonać.

3 marca 1561 roku papież Plus V zwołał konsystorz, który trwał osiem godzin, i z końcem którego wydał wyrok na obu Carafa w tych słowach: *Prout in schedula* (Niech się stanie wedle żądania).

Następnej nocy prokurator posłał do więzienia Św. Anioła *barigela*, iżby wykonał wyrok na dwóch braciach, Karolu, kardynale Carafa, i Janie, księciu Palliano; i tak się stało. Najpierw zajęto się księciem. Przeniesiono go z zamku Św. Anioła do więzienia Tordinone, gdzie wszystko było przygotowane; tam księciu, hrabiemu d'Aliffe i D. Leonardowi del Cardine ucięto głowy.

Księżę zniósł tę straszliwą chwilę nie tylko jak szlachcic wysokiego rodu, ale jak chrześcijanin gotowy ścierpieć wszystko dla miłości Boga. Przemawiał pięknymi słowami do towarzyszy, aby ich umocnić w chwili śmierci, następnie napisał do syna.

*Barigel* wrócił do zamku Św. Anioła, aby oznajmić śmierć kardynałowi Carafa, dając mu jedynie godzinę na przygotowanie się. Kardynał okazał wielkość duszy wyższą jeszcze od brata, ile że wyrzekł mniej słów: słowa są zawsze szukaniem siły poza sobą samym. Kiedy mu oznajmiono straszliwą wieść, usłyszano tylko, iż wymówił szeptem te słowa:

– Więc śmierć! O papieżu Piusie! O królu Filipie!

Wyspowiadał się; odmówił siedem psalmów pokutnych, po czym usiadł na krześle i rzekł do kata:

– Rób swoje.

Kat udusił go sznurem jedwabnym; sznur pękł, trzeba było zaczynać drugi raz. Kardynał spojrzawszy na kata nie racząc wyrzec słowa.

*Dopisano później:*

W niewiele lat potem papież Pius V kazał przejrzeć proces i unieważnił go; kardynała i jego brata wrócono do czci, a generalnego prokuratora, który najbardziej przyczynił się do ich śmierci, powieszono. Pius V nakazał zniszczenie aktów procesu; wszystkie kopie istniejące w bibliotekach spalono; zabroniono przechowywać je pod kłatwą; ale papież zapomniał o tym, że ma kopię procesu we własnej bibliotece. Jakoż wedle tej kopii sporządzono wszystkie odpisy, które dziś istnieją.

## WIKTORIA ACCORAMBONI

Nieszczęściem, zarówno dla mnie, jak dla czytelnika, to nie jest powieść, ale raczej wierny przekład bardzo poważnego opowiadania, spisane w Padwie w grudniu 1585 roku.

Bawiąc przed kilku laty w Mantui, szukałem szkiców i obrazów dostępnych dla mojej skromnej sakiewki, ale dobierałem malarzy sprzed roku 1600; około tej epoki oryginalność włoska, już zagrożona mocno zdobyciem Florencji w roku 1530, umarła do reszty.

Zamiast obrazu pewien stary patrycjusz, bardzo bogaty i bardzo skąpy, ofiarował mi na sprzedaż bardzo drogo pożółkłe od starości rękopisy. Poprosiłem o pozwolenie przejrzenia ich; zgodził się, dodając, iż ufa mojej rzetelności, że mianowicie, o ile nie kupię rękopisów, nie zapamiętam ciekawych anegdot, które tam wyczytam.

Pod tym warunkiem, który mnie ubawił, przejrzałem z wielkim uszczerbkiem dla oczu jakieś trzysta lub czterysta tomów, w których przed paroma wiekami nagromadzono opowieści tragicznych wydarzeń, listy z wyzwaniem na pojedynek, ugody między szlachetnymi sąsiadami etc. etc. Stary właściciel żądał olbrzymiej sumy za te rękopisy. Po dłuższych rokowaniach nabyłem bardzo drogo prawo skopiowania pewnych opowiadań, które mi się spodobały i które malują włoskie obyczaje, około roku 1500. Mam ich dwadzieścia dwa tomy *in folio* i to, co czytelnik przeczyta, o ile znajdzie cierpliwość po temu, to właśnie jedna z tych kronik wiernie przetłumaczona. Znam historię szesnastego wieku we Włoszech i sądzę, że to, co następuje, jest zupełnie prawdziwe. Zadałem sobie trud, aby przekład tego starego włoskiego stylu, surowego, prostego, wielce cennego i najeżonego aluzjami do spraw i myśli, które zaprzętały świat pod berłem Sykstusa Piątego (1585), nie barwił się odblaskiem nowoczesnej literatury oraz pojęciami naszej epoki, wyzutej z przesądów.

Nieznamy autor rękopisu jest to osobistość wielce oględna: nie sądzi nigdy faktu, nie komentuje go nigdy; jedynym jego celem jest prawda. Jeśli czasem jest – bezwiednie zresztą – malowniczy, to stąd, iż około roku 1585 próżność nie otaczała wszystkich ludzkich postępów aureolą przesady; każdy mniemał, iż aby oddziaływać na drugich, trzeba się wyrażać możliwie jasno. Około roku 1585, wyjąwszy błaznów trzymany na dworach lub wyjąwszy poetów, nikt nie silił się na powab słów. Nie powiadano jeszcze: „Umrę u twoich stóp, Najjaśniejszy Panie”, posyłając po konie pocztowe, aby drapnąć; był to może jedyny rodzaj zdrady, który nie był przyjęty. Mówiono mało i każdy dawał niezmiernie baczenie na to, co doń mówiono.

Tak więc, łaskawy czytelniku, nie szukaj tu stylu żywego, błyskotliwego, strojnego aluzjami do modnych uczuć; nie spodziewaj się zwłaszcza porywających wzruszeń romansu George Sand; ta wielka pisarka zrobiłaby arcydzieło z życia i nieszczęść W i k t o r i i A c – c o r a m b o n i. Szczere opowiadanie, które ci przedkładam, może mieć jedynie skromne zalety kroniki. Kiedy przypadkiem jadąc sam o zmroku kolaską pocztową, zechce się ktoś zadumać nad tajemnicami serca ludzkiego, będzie mógł osnuć swoje sądy dokoła szczegółów

tej historii. Autor mówi wszystko, tłumaczy wszystko, nie zostawia nic wyobraźni czytelnika: spisał to w dwanaście dni po śmierci bohaterki.

Wiktoria Accoramboni urodziła się z wielce szlacheckiej rodziny w Agubio, w księstwie Urbino. Od dzieciństwa zwracała uwagę rzadką pięknnością; ale piękność ta była najmniejszym jej urokiem. Nie brakło jej żadnej z zalet, które mogą zyskać podziw młodej dziewczynie wysokiego rodu; ale wśród tylu przymiotów, najgodniejszy uwagi, niemal – można rzec – graniczący z cudem, był jakiś nieodparty wdzięk, od pierwszego wejrzenia jednający jej serce i wolę każdego. I tej prostoty, stanowiącej siłę najmniejszego słowa, nie mącił żaden cień sztuczności; od pierwszej chwili czuło się ufność do tej pani obdarzonej tak niezwykłą urodą. Ktoś, kto by ją tylko widział, mógłby ostatecznie oprzeć się temu urzeczeniu; ale jeśli usłyszał jej głos, zwłaszcza jeśli z nią rozmawiał, niepodobna mu było obronić się działaniu tak niezwykłego czaru.

Wielu młodych kawalerów w Rzymie, gdzie mieszkał jej ojciec i gdzie jeszcze stoi jego pałac na placu Rusticuci, opodal Św. Piotra, zabiegało o jej rękę. Było wiele zazdrości i wiele współzawodnictw, ale wreszcie rodzice Wiktorii dali pierwszeństwo Feliksowi Peretti, siostrzeńcowi kardynała Montalto, który został później papieżem Sykstusem V, szczęśliwie nam panującym.

Feliks, syn Kamilli Peretti, siostry kardynała, nazywał się zrazu Franciszek Mignucci; przybrał miano Feliksa Peretti wówczas, gdy został uroczyście adoptowany przez wuja.

Wchodząc w dom Perettich, Wiktoria wniosła bezwiednie tę właściwość, którą można nazwać opłakaną i która towarzyszyła jej wszędzie; można powiedzieć, że aby jej nie ubóstwiać, trzeba było nigdy jej nie urzeć. Miłość, jaką płonął do niej mąż, graniczyła z szaleństwem; teściowa jej Kamilla i sam kardynał Montalto nie mieli, zdawało się, innego zajęcia na ziemi, niż odgadywać chęci Wiktorii i starać się je zaspokoić. Cały Rzym zdumiewał się, jak ów kardynał, znany ze szczupłych środków, nie mniej jak ze wstrętu do wszelkiego zbytku, znajdował stałą przyjemność w tym, aby uprzedzać wszystkie życzenia Wiktorii. Istota ta młoda, olśniewająco piękna, uwielbiana przez wszystkich, miewała bądź co bądź niekiedy zachcenia dość kosztowne. Wiktoria dostawała od swoich nowych krewnych klejnoty wielkiej ceny, perły, słowem, wszystko, co się pojawiło najrzadszego u złotników rzymskich, w owym czasie dobrze zaopatrzonych.

Z miłości do lubej siostrzenicy kardynał Montalto, tak znany ze swej surowości, uważał braci Wiktorii tak, jakby to byli właśnie jego siostrzeńcy. Oktaw Accoramboni, ledwie doszedłszy trzydziestu lat, został – dzięki wstawianictwu kardynała Montalto, desygnowany przez księcia Urbino i mianowany przez papieża Grzegorza XIII biskupem fossembrońskim; Marceli Accoramboni, młody junak, oskarżony o mnogość zbrodni i żywo ścigany przez *corte* (żandarmerię), umknął z trudem pościgu, który mógł go zawieść na śmierć. Zaszczycony opieką kardynała zdołał odzyskać nieco spokoju.

Trzeciego brata Wiktorii, Juliusza Accoramboni, kardynał Aleksander Sforza dopuścił do pierwszych zaszczytów na swym dworze, skoro tylko kardynał Montalto poprosił go o to.

Słowem, gdyby ludzie umieli mierzyć własne szczęście nie wedle bezgranicznej niestałości pragnień, ale wedle istotnych dóbr, które już posiadają, małżeństwo Wiktorii z siostrzeńcem kardynała Montalto mogło się wydać Accorambonim szczytem ziemskiego szczęścia. Ale bezrozumna żądza olbrzymich i niepewnych korzyści może ludziom najbardziej obsypanym łaskami losu podsuwać szalone i niebezpieczne myśli.

Faktem jest, że jeżeli który z krewnych Wiktorii, jak to w Rzymie podejrzewano, przyczynił się przez żądzę nowego wywyższenia do zagłady jej męża, niebawem miał sposobność ocenić, o ile byłoby rozsądniej zadowolić się umiarkowaną korzyścią miłego losu, który miał tak rychło dojść szczytu ambicji ludzkiej.

Gdy tak Wiktoria żyła jak królowa w swoim domu, pewnego wieczora, kiedy Feliks Peretti miał się położyć do łóżka z żoną, niejaka Katarzyna, urodzona w Bolonii, pokojówka

Wiktorii, oddała mu list. List ten przyniósł brat Katarzyny, Dominik d'Aquaviva, zwany Mancino (mańkut). Człowiek ten był wygnany z Rzymu za rozliczne zbrodnie, ale na prośbę Katarzyny Feliks zyskał mu potężną opiekę swego wuja i Mancino bywał często w domu Feliksa, który pokładał w nim wielkie zaufanie.

List, o którym mówimy, pisany był w imieniu Marcelego Accoramboni, najmilszego Feliksowi ze wszystkich braci Wiktorii. Najczęściej żył w ukryciu poza murami Rzymu; niekiedy wszakże odważał się wejść do miasta i wówczas znajdował schronienie u Feliksa.

Listem tym, doręczonym o tak niewczesnej godzinie, Marceli wzywał szwagra swego, Feliksa Peretti, na pomoc; zaklinał go, aby mu przybył na ratunek, i dodawał, że w sprawie niezmiernie pilnej oczekuje go około pałacu Monte – Cavallo.

Feliks powiedział żonie o szczególnym liście, po czym ubrał się, nie biorąc innej broni prócz szpady. Już miał wyjść w towarzystwie jednego sługi z pochodnią, kiedy zastąpiły mu drogę matka Kamilla, wszystkie kobiety z całego domu, a wśród nich sama Wiktorina; błagały najusilniej, aby nie wychodził o tak późnej porze. Kiedy nie chciał ulec ich prośbom, padły na kolana i ze łzami w oczach zaklinały go, aby ich usłuchał.

Kobiety te, a zwłaszcza Kamilla, były pod wrażeniem opowieści krążących o dziwnych rzeczach, które się działy co dzień i uchodziły bezkarnie w owym czasie pontyfikatu Grzegorza XIII, pełnego zamętu i niesłychanych zbrodni. Uderzyła je jeszcze i ta myśl: kiedy Marceli Accoramboni ważył się pojawić w Rzymie, nie miał zwyczaju wzywać Feliksa i taki krok o tej godzinie zdawał się im czymś zgoła nieprzystojnym.

Pełen ognia właściwego swemu wiekowi, Feliks nie uznawał tych argumentów; kiedy zaś dowiedział się, że list przyniósł Mancino, człowiek, którego kochał i któremu nieraz oddał usługę, nic nie mogło go wstrzymać; wyszedł z domu.

Jak wspomniano, poprzedzał go jeden sługa z pochodnią; ale ledwie biedny młodzian wstąpił kilka kroków na wzgórze Monte – Cavallo, padł ugodzony trzema strzałami z rusznicy. Widząc go leżącego, mordercy rzucili się nań i przeszli go mnóstwem ciosów, aż im się zdał zupełnie martwy. Natychmiast przyniesiono tę żałobną nowinę matce i żonie Feliksa, a przez nie doszła wnet do wuja jego, kardynała.

Kardynał nie zmieniawszy wyrazu twarzy, nie zdradzając najlżejszego wzruszenia, kazał się szybko ubrać, po czym polecił Bogu samego siebie oraz tę biedną duszę (tak zaskoczoną niespodzianiem). Następnie udał się do siostrzenicy i tam z cudowną powagą oraz z pozorami głębokiego spokoju nałożył hamulec krzykom i płaczom kobiecym, które zaczynały się rozlegać w całym domu. Wpływ jego na kobiety był taki, że od tej chwili nawet w momencie, gdy wynoszono trupa z domu, nie ujrzano ani nie usłyszano w ich zachowaniu nic, co by się najmniej oddalało od zwyczajnej żałoby w spokojnym domu. Co się tyczy samego kardynała, nikt nie mógł w nim dojrzeć nawet umiarkowanych oznak bólu; nic nie zmieniło się w porządku ani w widomych objawach jego życia. Cały Rzym nabrał niebawem tego przeświadczenia, mimo iż ze zwykłą swą ciekawością śledził najlżejsze poruszenia tego, tak głęboko zranionego człowieka.

Zdarzyło się przypadkiem, że nazajutrz po śmierci Feliksa zwołano konsystorz (kardynałów) do Watykanu. Nie było człowieka w mieście, który by nie myślał, że bodaj w pierwszy dzień kardynał Montalto uchyli się od tej publicznej funkcji. W istocie miał się tam ukazać oczom tylu i tak ciekawych świadków! Śledzono by najlżejsze drganie owej naturalnej słabości, którą tak pilnie wypadało ukryć osobie mierzącej z wybitnego stanowiska ku jeszcze wybitniejszemu; każdy bowiem przyzna, że nie przystoi, aby ten, który ma ambicję wznieść się ponad wszystkich ludzi, okazał się człowiekiem jak inni.

Ale osoby, które żywiły takie mniemanie, omyliły się podwójnie. Po pierwsze, wedle swego zwyczaju kardynał Montalto zjawił się w sali konsystorskiej jeden z pierwszych; po wtóre, nawet najprzenikliwszym niepodobna było dopatrzeć się w nim jakiegoś znaku wzruszenia. Przeciwnie, sposób, w jaki odpowiadał kolegom, starającym się wyrazić

współczucie z powodu tak okrutnego wypadku, przejął wszystkich zdumieniem. Jego hart i pozorna nieczułość po tak okropnym nieszczęściu stały się przedmiotem rozmów całego miasta.

Co prawda, nawet w konsystorzu paru ludzi, znających obyczaje dworów, przypisywało tę pozorną obojętność nie brakowi uczucia, ale raczej udaniu; a pogląd ten podzieliła niebawem większość dworaków. W istocie, roztropniej było nie okazywać zbytniego wzruszenia krzywdą, której sprawca był zapewne osobą wysoko postawioną i mogącą mu snadnie zagrozić drogę do najwyższej godności.

Jaką bądź była przyczyna tej widomej obojętności, to pewna, iż zdumiała ona cały Rzym oraz dwór Grzegorza XIII. Ale – aby wrócić do konsystorza – kiedy zebrali się wszyscy kardynałowie i sam papież wszedł na salę, natychmiast obrócił oczy w stronę kardynała Montalto i ujrano, że Jego Świątobliwość uronił łzy; co się tyczy kardynała, rysy jego nie straciły zwykłego spokoju.

Zdumienie wzrosło jeszcze, kiedy na tym samym konsystorzu, skoro kardynał Montalto przyklęknął z kolei przed tronem Jego Świątobliwości, aby zdać sprawę z czynności mu powierzonych, papież, nim mu pozwolił rozpocząć, nie mógł się wstrzymać od szlochów. Kiedy Jego Świątobliwość zdolny był przemówić, starał się pocieszyć kardynała, przyrzekając mu, iż zbrodnia tak potworna spotka się rychło z surową karą. Ale kardynał podziękowawszy pokornie błagał papieża, aby poniechał śledztwa w tej sprawie, świadcząc się, iż co się jego tyczy, przebacza z serca winowajcy, kimkolwiek by był. I po tej prośbie, wyrażonej w bardzo krótkich słowach, kardynał przeszedł do spraw, które mu poruczono, tak jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło.

Oczy wszystkich obecnych kardynałów wlepione były w papieża i w kardynała Montalto; mimo iż bardzo trudno jest zmylić wyćwiczone oko dworaków, żaden wszakże nie ośmielił się powiedzieć, aby twarz kardynała Montalto zdradziła ślad wzruszenia, gdy widział tak z bliska płaczącego papieża, który po prostu nie mógł się opanować. Ta zdumiewająca nieczułość kardynała Montalto nie zadała sobie kłamu przez cały czas rozmowy z Jego Świątobliwością; aż papież był tym uderzony i po skończonym konsystorzu, nie mogąc się wstrzymać, rzekł do kardynała Sari Sisto, swego ulubionego bratanka:

– *Veramente, costui e un gran frate!* (W istocie, tęgi mnich z tego człowieka!).

Następnych dni zachowanie kardynała Montalto nie uległo zgoła odmianie. Przyjął, jak każde obyczaje, kondolencje kardynałów, prałatów, i książąt rzymskich, ale z żadnym – bez względu na wiążące ich stosunki – nie pozwolił sobie na słowo bólu lub żałoby. Z każdym po krótkiej uwadze o niestałości rzeczy ziemskich, umocnionej i popartej cytatami z Pisma lub z Ojców Kościoła, odmienił rozmowę i przechodził do miejskich nowin lub do osobistych spraw każdego; zgoła tak, jakby chciał pocieszyć swoich pocieszycieli.

Rzym był zwłaszcza ciekawy tego, co się będzie działo podczas odwiedzin księcia Paola Giordana Orsini, któremu głos publiczny przypisywał śmierć Feliksa Peretti. Pospółstwo mniemało, że kardynał nie zniesie z bliska obecności księcia i rozmowy z nim sam na sam, aby miał nie zdradzić jakimś znakiem swoich uczuć.

W chwili, gdy książę przybył, zebrała się ogromna cizba na ulicy i koło bramy; mnogość dworzan wypełniała wszystkie pokoje, tak byli ciekawi śledzić twarze obu. Ale u żadnego z nich nie było można dostrzec nic nadzwyczajnego. Kardynał zachował wszystkie formy dworności; przybrał twarz nader wesołą, a sposób, w jaki zwracał się do księcia, odznaczał się wyszukana uprzejmością.

W chwilę potem, siadając do karocy i znalazłszy się ze swymi poufałymi, książę Paweł nie mógł się wstrzymać i rzekł śmiejąc się: *In fatta, e vero che costui e un gran frate!* (Szczera prawda, że to jest tęgi mnich!), jak gdyby chciał potwierdzić prawdę słów, które się wymknęły papieżowi.



Roztropni ludzie myśleli, że zachowanie kardynała Montalto w tej okoliczności wymościło mu drogę do tiary; wiele bowiem osób powzięło o nim to mniemanie, iż z natury czy z cnoty chrześcijańskiej nie umie lub nie chce szkodzić nikomu, choćby miał największe przyczyny gniewu.

Feliks Peretti nie zostawił żadnego pisma tycającego żony; tym samym trzeba jej było wracać do rodziców. Kardynał kazał jej wręczyć przed odejściem stroje, klejnoty i w ogóle wszystkie dary, jakie otrzymała, gdy była żoną jego siostrzeńca.

Trzeciego dnia po śmierci Feliksa Wiktoria w towarzystwie matki wprowadziła się do pałacu księcia Orsini. Niektórzy mówili, iż skłoniła je do tego kroku troska o osobiste bezpieczeństwo, ile że *corte* groziła im pościgiem jako oskarżonym o zgodę na zabójstwo lub bodaj o jego świadomość. Inni myśleli (a późniejsze wypadki potwierdziły to niejako), że skłoniła ją do tego kroku chęć małżeństwa, ile że ksiązę przyrzekł Wiktorii zaślubić ją, skoro tylko będzie wolna.

Bądź co bądź ani wówczas, ani później nie poznano jasno sprawy śmierci Feliksa, mimo iż wszyscy podejrzewali wszystkich. Większość wszelako przypisywała tę śmierć księciu Orsini; znano jego miłość do Wiktorii, którą objawiał w sposób niedwuznaczny; a małżeństwo, które nastąpiło, było tego wymownym dowodem, gdyż oblubienica była tu o tyle niższa stanem, iż jedynie napór namiętności mógł ją zrównać z oblubieńcem. Przeświadczenia tego nie zachwiał wśród ogółu list napisany do gubernatora Rzymu i ogłoszony w kilka dni po fakcie. List ten podpisany był nazwiskiem Cezara Palantieri, młodego człowieka o wielce nieokiełzanym charakterze, wygnanego z miasta.

W liście tym Palantieri powiada, że nie trzeba, aby Jego Dostojność zadawał sobie trud szukania gdzie indziej sprawcy śmierci Feliksa, gdyż to on kazał go zabić wskutek nieporozumień, które zaszły między nimi przed jakimś czasem.

Wielu myślało, że to morderstwo nie stało się bez zgody rodziny Accoramboni: oskarżano braci Wiktorii, uwiedzionych jakoby ambicją spowinowacenia się z możnym i bogatym księciem. Oskarżano zwłaszcza Marcelego na mocy poszlaki zawartej w liście, który wywabił z domu nieszczęsnego Feliksa. Mówiono źle i o samej Wiktorii, kiedy ujrzano, iż godzi się zamieszkać w pałacu Orsinich jako przyszła małżonka tuż po śmierci męża.

Dochodzenie tego morderstwa objął monsignor Portici, gubernator Rzymu, na rozkaz Grzegorza XIII. Widzimy w nim tylko, iż ów Dominik, przewany Mancino, uwięziony przez *corte*, ale nie wzięty na tortury (*tormetato*), wyznaje w drugim przesłuchaniu dnia 24 lutego 1582:

„Że przyczyną wszystkiego była matka Wiktorii i że wspomagała ją owa pokojówka rodem z Bolonii, która natychmiast po morderstwie schroniła się do cytadeli w Bracciano (należącej do księcia Orsini, gdzie *corte* nie śmiałaby wkroczyć), że sprawcami zbrodni byli Machione z Gubbio i Paweł Barca z Bracciano, *lanzie spezzate* (żołnierze) pewnego pana, którego nazwiska dla godnych przyczyn nie wymieniono”.

Do tych g o d n y c h p r z y c z y n dołączyły się, jak sądzę, prośby kardynała Montalto, który żądał usilnie, aby dochodzeń nie posuwano dalej; jakoż w istocie nie było mowy o procesie. Mancino wyszedł z więzienia z *preetto* (rozkazem), by wracał natychmiast do swej ojczyzny i nie wydalął się bez szczególnego zezwolenia. Uwolnienie tego człowieka nastąpiło w roku 1583, w dzień św. Ludwika, że zaś ów dzień był równocześnie dniem urodzin kardynała Montalto, okoliczność ta utwierdza mnie coraz więcej w przeświadczeniu, że to na jego prośbę zakończono sprawę. Pod rządem tak słabym jak rząd Grzegorza XIII taki proces mógł mieć następstwa bardzo niemiłe i to bez żadnej kompensaty.

W ten sposób działanie *corte* zawieszono; mimo to Grzegorz XIII nie chciał się zgodzić, aby ksiązę Paweł Orsini, diuk Bracciano zaślubił wdowę Accoramboni. Jego Świątobliwość, nałożywszy Wiktorii jakoby więzienie, dał księciu i wdowie *preetto* niezawierania małżeństwa bez osobliwej zgody jego lub jego następcy.

Grzegorz XIII zmarł (z początkiem roku 1585); ponieważ doktorzy praw, których poradził się Paweł Orsini, orzekli, że wedle ich sądu *precetto* wygasa przez śmierć panującego, który je nałożył, książę postanowił zaślubić Wiktorię przed wyborem nowego papieża. Ale małżeństwo nie mogło się odbyć tak szybko, jak by książę pragnął; częścią dlatego, że chciał mieć pozwolenie braci Wiktorii, zdarzyło się zaś, że Oktaw Accoramboni, biskup Fossombrone, nie chciał za nic dać swego pozwolenia; częścią, ponieważ nie przypuszczano, aby wybór następcy Grzegorza XIII odbył się tak szybko. Faktem jest, że ślub odbył się dopiero tego dnia, w którym papieżem został kardynał Montalto, tak zainteresowany w tej sprawie, to znaczy 24 kwietnia 1588; bądź to z przypadku, bądź że książę rad był okazać, że tak samo nie lęka się *corte* pod nowym papieżem, jak się jej nie lękał pod Grzegorzem XIII.

To małżeństwo oburzyło do żywego Sykstusa V (takie imię przybrał Montalto); porzucił już maskę mnicha i dostroił swą duszę do stopnia, na którym Bóg go pomieścił.

Mimo to papież nie zdradził niczym gniewu; jedynie, gdy książę Orsini zjawił się tego samego dnia wraz z ciżbą panów rzymskich, aby mu ucałować nogi, a z tajnym zamiarem wyczytania w twarzy Ojca św., czego mu się trzeba spodziewać lub lękać ze strony tego człowieka, dotąd tak mało mu znanego, spostrzegł, że już nie czas na żarty. Kiedy nowy papież spojrzął na księcia w szczególny sposób i nic nie odpowiedział na jego dworności, ten postanowił wyświecić bezzwłocznie zamiary Jego Świątobliwości.

Za pośrednictwem Ferdynanda, kardynała de Medicis (brata pierwszej żony), oraz katolickiego ambasadora hiszpańskiego książę uzyskał u papieża audiencję w jego pokoju; tam wygłosił do Jego Świątobliwości dobrze obmyślane przemówienie. Nie wspominając o minionych wypadkach, ucieszył się Jego nową godnością oraz ofiarował mu, jako powolny wasal i sługa, całe swoje mienie i wszystkie siły.

Papież wysłuchał z nadzwyczajną uwagą; w końcu oświadczył, że nikt bardziej odeń nie pragnie, aby życie i czyny Pawła Giordana Orsini były na przyszłość godne krwi Orsinich i prawego chrześcijańskiego rycerza; że co się tyczy przeszłego jego stosunku do stolicy apostolskiej i do niego samego dziś papieża, sumienie może go najlepiej objaśnić; może wszakże być pewny jednej rzeczy, mianowicie, że tak jak przebacza mu chętnie to, co mógł być uczynić przeciw Feliksowi Peretti i przeciw Feliksowi kardynałowi Montalto, nigdy nie przebaczyłby mu tego, co by na przyszłość uczynił przeciw papieżowi Sykstusowi; tym samym wzywa go, aby natychmiast wyznał z domu i ze swoich ziem wszystkich bandytów (wywołańców) i złoczyńców, którym dotąd używał schronienia.

Sykstus V umiał wywierać osobliwe wrażenie, w jakimkolwiek tonie przemawiał; ale kiedy był wzburzony i groźny, rzekłbyś, oczy jego ciskały pioruny. Tyle jest pewne, że książę Paweł Orsini, zawsze nawykły, że papież go się bali, zaczął, pod wpływem tych słów poważnie myśleć o swoich sprawach, ile że niczego podobnego nie słyszał od lat trzynastu. Ledwie wyszedłszy z pałacu Jego Świątobliwości, pobiegł do kardynała de Medicis opowiedzieć mu, co zaszło. Następnie, za radą kardynała, postanowił odprawić bez zwłoki wszystkich wywołańców, którym dawał schronienie w swoim pałacu i w swoich ziemiach, i pomyślał co prędzej o tym, aby znaleźć jakiś przyzwoity pozór bezzwłocznego opuszczenia kraju, podległego władzy tak surowego papieża.

Trzeba wiedzieć, że książę Paweł Orsini zrobił się nader otyły; nogi jego były grubsze niż ciało zwykłego człowieka, a jedna z tych olbrzymich nóg dotknięta była schorzeniem zwanym *lupa* (wilczyca), tak nazwanym, ponieważ trzeba je żywić wielką ilością świeżego mięsiwa, które się przykładła na schorzały członek; inaczej żrące humory, nie znajdując martwego mięsa do pożarcia, rzuciłyby się na żywe ciało w ich pobliżu.

Książę wziął to cierpienie za pozór, aby się udać do słynnych kąpiel w Albano, opodal Padwy, kraju podległego Rzeczypospolitej Weneckiej; wyruszył wraz z nową małżonką w połowie czerwca. Albano było dlań schronieniem bardzo pewnym, od wielu bowiem lat dom Orsinich związany był z Rzeczpospolitą Wenecką wzajemnymi usługami.

Znalazłszy się w tym bezpiecznym schronieniu, książę myślał już tylko o tym, aby zażywać wczasu; w tym celu wynajął trzy wspaniałe pałace: jeden w Wenecji, pałac Dandolo przy ulicy Zacca; drugi w Padwie, mianowicie pałac Foscarini, na wspaniałym placu zwanym Arena; trzeci wybrał w Salo, nad lubym brzegiem jeziora Garda: ten pałac należał niegdyś do rodziny Sforza Pallavicini.

Panowie weneccy (rząd republiki) z przyjemnością dowiedzieli się o przybyciu w ich stany takiego magnata i ofiarowali mu bardzo godną *condotta* (to znaczy pokaźną sumę, wypłacaną corocznie, którą książę miał obrócić na sformowanie korpusu dwóch do trzech tysięcy ludzi, pod swoim dowództwem). Książę wymówił się bardzo swobodnie od tej propozycji; kazał oświadczyć senatorom, iż z naturalnej i dziedzicznej w jego rodzinie skłonności byłby sercem gotów do służby w najdostojniejszej republice, jednakże będąc obecnie oddany królowi katolickiemu, nie uważa za właściwe przyjmować innych zobowiązań. Owa tak stanowcza odpowiedź ostudziła nieco senatorów. Zrazu mieli zamiar, w razie przybycia księcia do Wenecji, zgotować mu wspaniałe przyjęcie imieniem miasta; po tej odprawie namyślili się uważać go za prywatną osobę.

Książę Orsini, powiadomiony o wszystkim, postanowił nawet nie jechać do Wenecji. Już był w sąsiedztwie Padwy; za czym jadąc dalej tym uroczym krajem, udał się wraz ze świtą do domu, przygotowanego dlań w Salo, nad brzegiem jeziora Garda. Spędził tam całe lato wśród wspaniałych i urozmaiconych rozrywek.

Skoro nadeszła pora zmiany pobytu, książę dokonał kilku niewielkich podróży, po których uczuł, że nie może już znosić zmęczenia tak dobrze jak wprzód; zląkł się o swoje zdrowie; wreszcie postanowił spędzić kilka dni w Wenecji, ale odradziła mu to żona jego Wiktoria, która go nakłoniła, aby nadal został w Salo.

Niektórzy myśleli, że Wiktoria Accoramboni spostrzegła niebezpieczeństwo grożące życiu małżonka i że nakłoniła go do pozostania w Salo, jedynie chcąc wyciągnąć go później poza granice Włoch, na przykład do jakiegoś wolnego miasta w Szwajcarii; w ten sposób w razie śmierci księcia ubezpieczyłaby swoją osobę i osobisty majątek.

Czy to przypuszczenie było słuszne czy nie, faktem jest, że nie stało się nic podobnego, ile że książę, uległszy nowemu napadowi choroby w Salo 10 listopada, natychmiast przeczł to, co ma się zdarzyć.

Uzalił się swej nieszczęśliwej żony; widział ją w kwiecie młodości, ubogą zarówno reputacją jak mieniem, zniechęconą władcom panującym we Włoszech, niezbyt nawidzoną przez Orsinich i bez nadziei innego małżeństwa po jego śmierci. Jako pan wspaniały i wierny słowu, sporządził z własnego popędu testament, którym chciał ubezpieczyć losy tej nieszczęsnej. Zostawił jej w gotowiznie lub w klejnotach pokaźną sumę stu tysięcy piastrów, poza tym wszystkie konie, karoce, i sprzęty, które mu służyły w tej podróży. Dziedzicem reszty majątku uczynił Wirginia Orsini, swego jedynego syna z pierwszej żony, siostry Franciszka I, wielkiego księcia tokańskiego (tej samej, którą zabił za niewierność za zgodą jej braci).

Ale jak niepewne są przewidywania ludzi! Rozporządzenia, którymi Paweł Orsini mniemał zapewnić bezpieczeństwo nieszczęśliwej kobiecie, zmieniły się dla niej w klęski i niedole.

Podpisawszy testament, książę uczuł się dnia 12 listopada nieco lepiej. Rano 13 puszczone mu krew, a lekarze, pokładając nadzieje już tylko w surowej diecie, wydali najściślejsze rozkazy, aby mu nie dozwolano żadnego jadła.

Ale zaledwie opuścili pokój, książę zażądał, aby mu dano obiad; nikt nie ośmielił się sprzeciwić, jadł tedy i pił jak zwyczajnie. Ukończywszy posiłek stracił przytomność i na dwie godziny przed zachodem słońca nie żył.

Po tej nagłej śmierci Wiktoria Accoramboni, w towarzystwie Marcelego, swego brata, oraz całego dworu nieboszczyka księcia, udała się do Padwy do pałacu Foscarni w pobliżu Areny, tego samego, który książe Orsini był wynajął.

Wkrótce potem przybył tam do niej brat jej Flaminio, cieszący się pełnią łask kardynała Farneze. Wiktoria poczyniła kroki, aby uzyskać wypłatę mężowskiego zapisu; zapis ten sięgał sześćdziesięciu tysięcy plastrów, które miały być jej wypłacone w ciągu dwóch lat, niezależnie od posagu oraz klejnotów i sprzętów, które miała w ręku. Książe Orsini zarządził testamentem, aby w Rzymie lub innym mieście, wedle wyboru księżnej, kupiono jej pałac wartości dziesięciu tysięcy piastrów i posiadłość miejską za sześć tysięcy; zalecił dalej, aby jej zapewniono stół i służbę należne pani jej stanowiska. Służba miała się składać z czterdziestu ludzi, wraz z odpowiednią ilością koni.

Signora Wiktoria pokładała wiele nadziei w przyjaźni książąt Ferrary, Florencji i Urbino oraz kardynałów Farneze i Medici, mianowanych przez nieboszczyka wykonawcami testamentu. Godzi się nadmienić, że testament sporządzony był w Padwie i poddany ocenie znamienitych pp. Parrizoli i Menochio, profesorów tamecznego uniwersytetu, a dziś tak słynnych prawników.

Najpierw wszczął się spór między signorą Wiktorią i księciem Ludwikiem co do koni nieboszczyka diuka, których książe nie chciał uznać za s p r z ę t y w zwyczajnym znaczeniu tego słowa; ale księżna dowiodła, że trzeba je, ściśle mówiąc uważać za sprzęty. Za czym postanowiono, że zachowa ich użytek do późniejszego rozstrzygnięcia; a jako rękojmię podała pana Soardi de Bergame, kondotiera Rzeczypospolitej Weneckiej, szlachcica bardzo bogatego, jednego z pierwszych w ojczyźnie.

Książe Ludwik Orsini przybył do Padwy, aby dopełnić swoich obowiązków względem nieboszczyka i wdowy; następnie miał się udać na wyspę Korfu, aby objąć rządy, do których go powołała najdostojniejsza republika.

Druga trudność wyłoniła się z powodu pewnej ilości srebra, które nieboszczyk książe oddał księciu Ludwikowi w zastaw za pożyczoną sumę. Wszystko rozstrzygano drogą sądową, ile że najdostojniejszy książe Ferrary pilnował, aby ostatnią wolę księcia Orsini wypełniono z całą ścisłością.

Tę drugą sprawę rozstrzygnięto dnia 23 grudnia, który to dzień przypadał w niedzielę.

Tej samej nocy czterdziestu ludzi wtargnęło do domu rzeczonyj Accoramboni. Byli ubrani w płaszcze płócienne, dziwnie skrojone i uszyte w ten sposób, aby ich nie można było poznać, chyba po głosie; wołając się nawzajem, posługiwali się zmyślonymi imionami.

Szukali najpierw księżnej, a skoro ją znaleźli, jeden rzekł: „Teraz trzeba umierać”.

I nie darowując jej ani chwili, mimo iż błagała, że chce się polecić Bogu, wbił jej sztylet tuż nad lewą pierś; po czym, obracając sztylet na wszystkie strony, okrutnik spytał kilka razy nieszczęśliwej, aby powiedziała, czy dosięgnął serca; wreszcie wydała ostatnie tchnienie. Przez ten czas inni szukali braci księżnej, z których jeden Marcelli uszedł z życiem, ponieważ go nie znaleziono w domu; drugiego przeszyto setką ciosów. Mordercy zostawili ciała na ziemi, cały dom we łzach i lamentach, i porwawszy szkatułkę z pieniędzmi i kosztownościami, umknęli.

Wiść ta dobiegła szybko do sędziów w Padwie; polecieli rozpoznać martwe ciała i posłali do Wenecji po rozkazy.

Przez cały poniedziałek w pałacu oraz w kościele Eremitów była straszliwa cizba; wszyscy chcieli oglądać trupy. Ciekawi wzruszyli się litością, zwłaszcza na widok księżnej, tak pięknej; płakali nad jej nieszczęściem, *et dentibus fremebant* (i zgrzytali zębami) na morderców; ale nie znano jeszcze ich nazwiska.

*Corte*, powziawszy silne podejrzenie, iż rzecz stała się z rozkazu lub przynajmniej za zgodą rzeczonyj księcia Ludwika, kazała go wezwać; kiedy zaś on chciał wejść *in corte* (do trybunału) Jego Dostojności kapitana z orszakiem czterdziestu uzbrojonych ludzi, zagrodzono

mu drogę i powiedziano, aby wszedł tylko z trzema lub czterema. Ale w chwili gdy ci wychodzili, inni wcisnęli się za nimi, odtrącając strażę i weszli wszyscy.

Książę Ludwik, znalazłszy się przed Jego Dostojnością kapitanem, uzalił się na tę zniewagę, świadcząc się, że nigdy nie doznał podobnego afrontu od żadnego panującego. Kiedy Jego Dostojność spytał go, czy wie coś dotyczącego śmierci signory Wiktorii oraz tego, co się zdarzyło ubiegłej nocy, odpowiedział, że tak i że nakazał, aby z tego zdano sprawę sądowi. Chciano zapisać jego zeznania; odpowiedział, że ludzie jego stanu nie podlegają tej formalności i że także nie godzi się go przesłuchiwać.

Książę Ludwik poprosił o pozwolenie wysłania gońca do Florencji z listem do księcia Wirginia Orsini, w którym zawiadamia go o zbrodni i procesie. Pokazał list udany, nie będący prawdziwym, i uzyskał to, o co prosił.

Ale wysłanego gońca przytrzymano za miastem i przeszukano starannie; znaleziono list, który książę Ludwik pokazał, oraz drugi, schowany w butach kuriera; a był następującej treści:

*Do pana Wirginia Orsini.*

*Wielce dostojny panie!*

*Wykonaliśmy to, co było ułożone między nami, i to w ten sposób, żeśmy wyprowadzili w pole jegomością Tondini (zapewne nazwisko naczelnika corte, który przesłuchiwał księcia), tak iż mają mnie tu za niewinnego jak baranek. Wykonałem rzecz osobiście, toteż nie zaniechaj W. Ks. Mość wysłać natychmiast wiadomych ludzi.*

List ten poruszył mocno sędziów; posłali go czym prędzej do Wenecji; sami zaś dali rozkaz zamknięcia bram miasta oraz obsadzenia murów wojskiem przez dzień i noc. Ogłoszono surowe kary na każdego, kto, znając zbrodniarzy, nie udzieliłby sądowi tego, co wie. Mordercy, którzy zdradzą jednego ze swoich, nie będą sami odpowiadali, a nawet otrzymają pewną kwotę pieniężną. Ale około siódmej w nocy w Wilię Bożego Narodzenia. (24 grudnia o północy) przybył z Wenecji Alojzy Bragadino z szerokimi pełnomocnictwami od senatu oraz z rozkazem ujęcia, żywych lub umarłych, za wszelką cenę rzezonego księcia Ludwika i wszystkich jego ludzi.

Ów pełnomocnik Bragadino, Jego Dostojność kapitan i podesta zebrali się w fortecy.

Nakazano pod karą szubienicy (*della forca*) wszelkiej milicji, pieszej i konnej, aby się zebrała, dobrze uzbrojona, wpodłe domu rzezonego księcia Ludwika, sąsiadującego z fortecą, a przylegającego do kościoła Św. Augustyna na Arenie.

Skoro nastał dzień (będący dniem Bożego Narodzenia), ogłoszono w mieście edykt, upominający synów św. Marka, aby pobiegli z bronią w rękę do domu pana Ludwika; ci, którzy nie posiadają broni, mają się udać do fortecy, gdzie otrzymają jej, ile zapragną. Edykt ten przyzywał nagrodę dwóch tysięcy dukatów temu, kto odda do rąk *corte*, żywym lub umarłym, rzezonego pana Ludwika, a pięćset dukatów za każdego z jego ludzi. Co więcej, wydano rozkaz, aby ten, kto nie ma broni, nie zbliżał się do domu księcia, iżby nie zawadzał bijącym się, w razie gdyby książę odważył się uczynić wypad.

Zarazem pomieszczono rusznice wałowe, moździerze i armaty na starych murach, na wprost domu księcia; toż samo na nowych murach, z których widać było tyły domu. Z owej strony ustawiono jazdę, aby się mogła swobodnie obracać w razie potrzeby. Nad rzeką Brentą rozstawiono ławy, szafy, wozy i inne sprzęty tworząc z nich rodzaj szańca. Chciano w ten sposób uczynić zaporę dla obleżonych, w razie gdyby mieli ruszyć na lud w zwartym ordynku. Szaniec ten miał też chronić puszkarzy i piechotę przeciw rusznicom obleżonych.

Wreszcie umocowano na rzece barki, na wprost i po bokach książęcego pałacu. Barki były pełne ludzi zbrojnych w muszkiety i inną broń sposobną do niepokojenia wroga, w razie gdyby próbował wycieczki; równocześnie wzniesiono barykady na wszystkich ulicach.

W czasie tych przygotowań nadszedł list w bardzo przystojnych słowach, w którym książę żalił się, że go osądzono winnym i że się go traktuje jako wroga, ba, nawet buntownika, zanim zbadano sprawę. List ten ułożył niejaki Liveroto.

27 grudnia trzech szlachcice, najznacniejsi w mieście, udali się z ramienia sądu do księcia Ludwika, który miał w domu około czterdziestu ludzi, żołnierzy ostrzelanych z niebezpieczeństwem. Zastali ich sporządzających sztańce z desek i mokrych materacy oraz gotujących rusznice.

Ci trzech szlachcice oświadczyli księciu, że sędziowie gotowi są oświadczyć jego osobą; napominają go, aby się poddał, dodając, iż dzięki temu, nim jeszcze przyjdzie do czynnego starcia, może się u nich spodziewać zmiłowania. Na co pan Ludwik odpowiedział, że gdyby usunęli straż rozstawioną koło domu, udałby się przed sędziów samowtór albo samotrzeć ze swymi ludźmi, aby traktować sprawę, pod warunkiem, że zawsze będzie miał swobodę cofnąć się do pałacu.

Wysłannicy przyjęli te propozycje spisane jego ręką i wrócili do sędziów, którzy odrzucili te warunki, z szczególną poradą wielce znamienitego Pio Enea i innych panów. Posłowie wrócili do księcia i oznajmili mu, że jeśli się nie podda wręcz i bez warunków, dom jego będzie zrównany z ziemią z armaty; na co odpowiedział, że woli śmierć niż takie pohańbienie.

Starsi dali znak do bitwy. Mimo że można było zburzyć prawie cały dom jedną salwą, woleli działać z niejakimi względami, próbując, czy oblężeni nie zgodzą się poddać.

Ten zamiar powiódł się i oszczędzono Wenecjanom wiele pieniędzy, które byliby wydali na odbudowanie pałacu; nie wszyscy jednak pochwalili to. Gdyby ludzie pana Ludwika powzięli bez wahania rezolucję i wypadli z domu, skutek byłby bardzo wątpliwy. Byli to starsi żołnierze, nie zbywało im amunicji, broni ani serca, a zwłaszcza mieli największy interes w tym, aby zwyciężyć, czyż nie było lepiej dla nich, nawet przyjmując najgorsze, umrzeć od kuli niż z ręki kata? Zresztą z kim mieli do czynienia? Z ciurami mało doświadczonymi w broni. W takim wypadku panowie mocno by żalowali swej łagodności i swej wrodzonej dobroci.

Zaczęto tedy od burzenia kolumnady przed domem; następnie, strzelając wciąż nieco górą, zburzono tylną fasadę. Przez ten czas oblężeni gęsto strzelali z rusznicy, ale bez innego skutku prócz tego, iż jakiegoś człowieka skaleczono w ramię.

Pan Ludwik krzyczał z wielkim impetem: „Bitwa! Bitwa! Wojna! Wojna!” Był bardzo zajęty wytapianiem kul z cynowych półmisków oraz z ołowiu z szybek okiennych. Groził, że uczyni wycieczkę. Ale oblegający powzięli nowe postanowienie: wysunięto artylerię grubszego kalibru.

Za pierwszym strzałem zawalił się wielki kawał domu i niejaki Pandolfo Lenpratti z Camerino padł przywalony gruzem. Był to bardzo mężny człowiek i banita jeden z najznamienitszych. Wywołano go ze stanów św. Kościoła, a na głowę jego nałożył cenę czterechset plastrów jaśnie wielmożny pan Vitelli, a to za śmierć Wincentego Vitelli, napadniętego w powozie i zabitego sztyletem i rusznicą, bronią daną przez księcia Ludwika Orsini, a ramieniem owego Pandolfa i jego towarzyszków. Ogłuszony upadkiem, Pandolfo nie mógł uczynić żadnego ruchu: ciura pewien, zwany Caidi Lista, przysunął się doń uzbrojony w pistolet i bardzo mężnie uciął mu głowę, którą zaniósł czym prędzej do cytadeli i oddał władzom.

Wkrótce potem drugi strzał armatni zwałił ścianę domu, a wraz z nią hrabiego Montemelino z Peruzy; i zmarł w ruinach zmiażdżony kulą.

Ujrzano następnie wychodzącego z domu pułkownika Lorenzo, szlachcica z Camerino, bardzo bogatego, który w niejednej okazji dał dowody męstwa i wielce był szacowny księciu. Ten postanowił nie umrzeć bez pomsty; chciał strzelić z rusznicy; ale mimo że kurek spadł, zdarzyło się – może z dopustu Boga – że zapal się nie zajął, a w tejże chwili jego przeszła kula. Wystrzelił doń jakiś biedaczyna, repetytor żaków u Św. Michała. Ale kiedy, chcąc zyskać przyrzeczoną nagrodę, zbliżał się, aby mu uciąć głowę, uprzedzili go inni zwinniejsi, a zwłaszcza silniejsi, którzy wzięli sakiewkę, pas, strzelbę, pieniądze i pierścionki pułkownika i ucięli mu głowę.

Skoro ci, w których księżę Ludwik największą pokładał ufność, padli, stropił się bardzo i zauważono, że poniechał już wszelkiego ruchu.

Pan Filenfi, jego marszałek dworu i sekretarz w cywilnym ubraniu, dał z balkonu białą chustką znak, że się poddaje. Wyszedł i zawiedziono go do cytadeli, p r o w a d z ą c p o d r a m i ę, jak podobno jest obyczaj na wojnie; a prowadził go Anzelm Suardo, namiestnik Panów (sędziów). Przesłuchany na miejscu, rzekł, iż nie ponosi żadnej winy w tym, co się stało, ile że dopiero w Wilię Bożego Narodzenia przybył z Wenecji. gdzie zatrzymał się kilka dni dla spraw księcia.

Spytano go, ilu ludzi ma ze sobą księżę; odpowiedział: „Dwudziestu albo trzydziestu”.

Spytano o ich nazwiska; odpowiedział, że jest ośmiu lub dziesięciu takich, którzy jako znamienitsi jadali jak on przy stole księcia, i tych zna po nazwisku; o innych, włóczęgach z rzemiosła i niedawno przybyłych, nic mu nie wiadomo.

Wymienił trzynaście osób; wśród tych brata pana Liveroto.

Wkrótce potem artyleria ustawiona na murach zaczęła grać. Żołnierze usadowili się w domach sąsiadujących z pałacem księcia, aby przeszkodzić ucieczce jego ludzi. Księżę, narażający się na te same niebezpieczeństwa, co owi dwaj, których opowiedzieliśmy śmierć, rzekł tym, co go otaczali, aby się bronili, póki nie ujrzą pisma jego ręki w towarzystwie pewnego znaku; po czym oddał się wymienionemu już Anzelmowi Suardo. Nie można go było zawieść w karocy, jak było przepisane, a to z powodu ciżby ludu i barykad wznoszących się na ulicach; postanowiono tedy, że pójdzie piechotą.

Szedł otoczony ludźmi Marcelego Accoramboni; tuż przy nim szli panowie *condottieri*, namiestnik Suardo, inni kapitanowie i szlachta, wszyscy dobrze uzbrojeni. Następnie szła tęga kompania żandarmów i żołnierzy miejskich. Księżę Ludwik szedł ciemno ubrany, ze sztyletem u boku i z płaszczem odrzuconym przez ramię w sposób bardzo dworny; rzekł z uśmiechem wzgardy: „Gdybym był walczył?”, chcąc dać do zrozumienia, że byłby zwyciężył. Zaprowadzony przed Panów, skłonił się i rzekł:

– Panowie, jestem jeńcem tego szlachcica, i bardzo mnie smuci to, co się zdarzyło, a czemu nie jestem winien.

Kiedy kapitan nakazał, aby mu odjęto sztylet, który miał przy boku, oparł się o balkon i zaczął sobie obcinać paznokcie nożyczkami, które tam znalazł.

Spytano go o osoby, które ma w domu; wymienił między innymi pułkownika Liveroto i hrabiego Montemelino (o którym była mowa wyżej); dodając, że dałby dziesięć tysięcy plastrów za jednego z nich, a za drugiego oddałby własną krew. Poprosił, aby go pomieszczono w miejscu przystojnym dla człowieka jego stanu. Skoro rzecz ułożono, napisał własną ręką do swoich, nakazując, aby się poddali, i dał pierścień jako znak. Oświadczył panu Anzelmowi, że daje mu swoją szpadę i fuzję, skoro znajdzie tę broń w domu, aby się nią posługiwał dla jego miłości jako bronią należącą do szlachcica, a nie do pospolitego ciury.

Żołnierze weszli do domu, przetrząsnęli go starannie i natychmiast zwołali ludzi księcia, w liczbie trzydziestu czterech, po czym zaprowadzili ich po dwu do więzienia. Trupy zostawiono na pastwę psom i co prędzej zdano ze wszystkiego sprawę w Wenecji.

Spostrzeżono, że wielu żołnierzy księcia Ludwika, współników czynu, brakuje; zabroniono dawać im schronienie pod karą zburzenia nieposłusznym domu i skonfiskowania

mienia; ci zaś, którzy ich wydadzą, otrzymają pięćdziesiąt piastrów. Tym sposobem wykryto wielu.

Wysłano z Wenecji fregatę do Kandii z rozkazem do pana Latyna Orsini, aby wracał natychmiast dla sprawy wielkiej wagi; i zdaje się, że straci swoje stanowisko.

Wczoraj rano, w dzień św. Szczepana, wszyscy spodziewali się, że będą świadkami stracenia księcia Ludwika lub też dowiedzą się, że go uduszono w więzieniu; i było powszechne zdziwienie że się stało inaczej, zważywszy, że nie jest to ptak, którego by można długo trzymać w klatce. Ale następnej nocy odbył się proces i w dzień św. Jana, nieco przed świtem, przyszła wiadomość, że owego pana uduszono w więzieniu i że umarł bardzo dobrze przysposobiony. Ciało jego przeniesiono bez zwłoki do katedry, w otoczeniu księży katedralnych oraz ojców jezuitów. Zostawiono go cały dzień na stole na środku kościoła, iżby służył, za widowisko dla ludu, a za zwierciadło dla niedoświadczonych.

Nazajutrz ciało jego przeniesiono do Wenecji, jak nakazał w testamencie, i tam go pogrzebano.

W sobotę powieszono dwóch jego ludzi; pierwszym i głównym był Furio Savorgano, drugim osoba podłego stanu.

W poniedziałek, przedostatniego dnia rzeczzonego roku, powieszono trzynastu, wśród tych kilku bardzo szlachetnego rodu; dwóch innych – kapitana Splendiano i hrabiego Paganello – przeprowadzono przez rynek i lekko szarpano kleszczami; skoro przybyli na miejsce stracenia, zatłuczono ich, rozbito im głowy i jeszcze na wpółżywych poćwiartowano. Byli obaj ze szlachty i, nim weszli na złą drogę, obaj bardzo bogaci. Powiadają, że to hrabia Paganello zabił Wiktorię Accoramboni, z okrucieństwem, o którym opowiadaliśmy. Sprzeciwiałoby się temu to, iż książe Ludwik w przytoczonym liście wyznaje, iż rzecz spełnił własną ręką; może czyni to przez próżną chwałbę, jaką okazał także w Rzymie po zamordowaniu Witellego, lub aby się lepiej zasłużyć w oczach księcia Wirginia Orsini.

Hrabiemu Paganello, nim otrzymał śmiertelny cios, wbito wielokrotnie nóż powyżej lewej piersi, aby mu dosięgnąć serca, jak on uczynił owej biednej pani. Stąd wynikło, że z piersi jego popłynął jakoby strumień krwi.

Żył tak więcej niż pół godziny, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich. Był to człowiek czterdziestopięcioletni, wyglądał bardzo silnie.

Szubienica stoi jeszcze, aby się załatwić z dziewiętnastoma pozostałymi w pierwszy dzień nieświęteczny. Ale ponieważ kat jest bardzo zmęczony, a lud jest bez tchu od widoku tyłu śmierci, odkładają egzekucję przez te dwa dni. Nie zdaje się, aby kogoś zostawiono przy życiu. Z ludzi księcia Ludwika jedynym wyjątkiem może będzie pan Filenfi, jego marszałek dworu, który zadaje sobie wiele trudu – i w istocie rzecz jest dlań ważna – aby dowieść, że nie miał żadnego udziału w tym zdarzeniu.

Nikt nie przypomina sobie, nawet z najstarszych mieszkańców Padwy, aby kiedykolwiek – i równie sprawiedliwym wyrokiem – pozbawiono życia tyle osób na jeden raz. I Panowie weneccy zyskali sobie dobrą sławę i reputację u najcywilizowańszych narodów.

*Dopisane inną ręką:*

Franciszka Filenfi, sekretarza i *maestro di casa*, skazano na piętnaście lat więzienia. Podczaszego (*copiere*) Onoria Adami z Fermo, zarówno jak dwóch innych, na rok więzienia; siedmiu innych skazano na galery z kajdanami na nogach, siedmiu uwolniono.



## **SPIS RZECZY**

Vanina Vanini  
Księżna Palliano  
Wiktoria Accoramboni